AS

NUMER SPECJALNY
POŚWIĘCONY POLSKIEMU MORZU



Nr. 26
28 CZERWCA 1936 R.
CENA 40 GROSZY

Wielka idea

Propagator polskiej myśli mocarstwowej na morzu, gen. GUSTAW ORLICZ-DRESZER mówi o zagadnieniach, związanych z naszem wybrzeżem w artykule, specjalnie napisanym dla „Asa"

W trudnych warunkach współczesnego borykania się Polski w walce o lepszą przyszłość, gdy doszliśmy nieomal do najskrajniejszej granicy ujemnej pod względem poziomu dobrobytu obywateli państwa, mamy jedną dziedzinę życia wyraźnie i bezsprzecznie dodatnią: w codziennym wytrwałym wysiłku realizujemy, zaniedbaną w ciągu tysiącletniej historji naszego narodu wielką ideologję morską.

Zdaje się, że zrozumienie konieczności pracy na morzu stało się już jednym z najtrwalszych dogmatów polskiej racji stanu, w najgłębszem ujęciu i pojmowaniu jej treści.

Nigdy w dziejach dawnej Rzeczypospolitej potężny motor morski nie był tak zdecydowanie i mocno wprzągnięty w całokształt interesów państwa i narodu jak dzisiaj, nigdy też wieczna i bezinteresowna praca jego dla rozwoju gospodarstwa narodowego nie osiągnęła tak wysokiego poziomu.

Po długiej, zbyt długiej, szczególnie ze względu na intensywny rozwój świata w XIX stuleciu, tragicznej przerwie w niezależnym bycie narodu, posiadamy obecnie oprócz sąsiadów „lądowych", również i morskich, a więc Danję, Szwecję, Norwegję, Finlandję, z którymi łączy nas ruchliwa i pracowita granica morska na pobrzeżach „małego" morza Bałtyckiego.

Potrafiliśmy również już dzisiaj dzięki wysiłkom własnym, wzmagającym zasiąg bandery narodowej z królewskim Białym Orłem, poprzez neutralne pasy Morza Północnego i błękitnego Atlantyku, znaleźć sąsiadów dalszych w obu Amerykach, gdzie życie pulsuje z nieosiągalną jeszcze dla nas intensywnością i siłą.

Można stwierdzić z całą pewnością, że jeżeli wytężone życie jest właściwą miarą wartości człowieka i narodu, posiadanie przez nas i wykorzystanie brzegu morskiego w ciągu krótkich kilkunastu lat podniosło tężyznę wysiłków polskich na wysoki poziom, oraz wznieciło wielkie nadzieje i stało się potężną dźwignią w rozwoju naszych poczynań państwowych, a więc zasadniczo podniosło naszą wartość na terenie międzynarodowym. Nasz nieprawdopodobnie mały, w stosunku do granic lądowych, stan posiadania nad morzem, stwarza jednak w psychologji narodu poczucie siły i wiary w siebie, a więc tych niezaprzeczalnych wartości, które są zdolne do zbudowania życia płynącego wartko, mocno i chwalebnie, z wielkiemi wysiłkami dla dobrobytu obywateli i dostojeństwa, oraz chwały narodu.

W poszukiwaniu wielkiej ideologji narodowej znaleźliśmy więc dzięki działalności morskiej niedrugorzędne napewno hasło, którego odzew w sercach i pracy obywateli jest **najbardziej** zdolny wyprowadzić nas na drogę wielkich przeznaczeń.

Stwierdziwszy dobitnie i wyraźnie znaczenie dla narodu i państwa konieczności rozwoju i pogłębiania idei morskiej, musimy zastanowić się, czy wszystko, co do nas należy, robimy na tych nowych przestrzeniach działalności polskiej, czy wysiłki nasze są wystarczające, aby skracać przestrzeń, jaka powstała pomiędzy nami, a narodami morskimi w ciągu wieków, czy zapewniają nam one możność wydźwignięcia narodu na wyżyny równe sławnym czasom Jagiellonów i Batorego.

Dwa są zasadnicze zagadnienia, które tutaj rozważyć należy: 1) obrona naszego stanu posiadania, 2) wykorzystania brzegu morskiego.

Wiemy o tem dobrze i nie trzeba powtarzać znanych ogólnie cyfr porównawczych, że pod względem siły rzeczywistej naszej obrony morskiej, stoimy bardzo nisko, i że zbrojenia naszych sąsiadów na morzu, wzrastają niepomiernie szybciej niż nasze.

Wojenna marynarka polska, chluba i miłość współczesnego pokolenia, stanie wobec tragicznej niemożności wykonania swych zadań obronnych, jeżeli rząd i społeczeństwo nie zdobędą się na heroiczny wysiłek wzmożenia jej rozbudowy, przynajmniej proporcjonalnie do rozwoju flot wojennych najbliższych sąsiadów — wschodniego i zachodniego.

Wytworzyła się bowiem w życiu polskiem nielogiczna dysproporcja pomiędzy miłością i zrozumieniem bezcennego dla nas dziedzictwa morskiego, oraz słowną obroną jego przynależności do Rzeczypospolitej, a faktycznym stanem rzeczy w oksywskim porcie wojennym. Staje się zatem koniecznym z naszej strony wysiłek i to już w najbliższym czasie, mający na celu wyrównanie, pomimo trudności gospodarczych, różnic pomiędzy tęczowemi marzeniami i szarym dniem powszednim i danie naszej marynarce możności odporu obronnego w razie potrzeby wojennej, godnego honoru wielkiego historycznego narodu i odpowiadającego wartości jego bezcennego stanu posiadania nad morzem.

Wykorzystanie brzegu morskiego przez Polskę spotyka się z podziwem na całym świecie, oraz stale wzmagającym się szacunkiem obcych dla naszego narodu.

W rekordowym okresie czasu zbudowaliśmy Gdynię port i Gdynię miasto, tonaż naszej floty handlowej osiągnął 96.819 tonn brutto; obrót handlowy w portach polskich Gdyni i Gdańsku osiągnął w roku 1934 imponującą cyfrę miljarda stu miljonów złotych, gdy przez długie granice lądowe wynosił w tym samym okresie około 700 miljonów, rozpoczęliśmy budowę portu rybackiego na pełnem morzu, wszędzie na wybrzeżu widać ruch i pracę wytężoną.

Nie wszystko jednak zostało dokonane.

Olbrzymia masa pracy pozostała do odrobienia i musi być wykonana, jeżeli eksploatacja naszego pobrzeża, a co za tem idzie, Bałtyku, mórz dalekich i bezkresnych oceanów ma zaważyć na doli naszego ludu, dać mu większy dobrobyt i kulturę.

Gdy się czyta statystyki portu gdyńskiego i wgłębia w nie, powstaje niepokojące pytanie: dla kogo budowaliśmy, w dziale nawigacji i transportu, tak wielkim wysiłkiem narodu, port polski? Przecież własna flota handlowa w obrocie portowym gdyńskim bierze stosunkowo mały udział, nie uzyskując dotąd nigdy rekordu pierwszeństwa w naszym wywozie i przywozie?

Należałoby więc, obok zainteresowań rządowych, pobudzić inicjatywę prywatną, wytworzyć w kraju kastę importerów i eksporterów w znaczeniu światowem tych wyrazów, posiadających własne statki i posługujących się niemi dla zdobywania coraz to nowych i dalej znajdujących się rynków zbytu na całym dostępnym dla nas świecie.

Dopóki posługujemy się wybitnie cudzą banderą, pozostaje poza nami nieskończona ilość możliwości niewykorzystanych.

Kilkaset lat temu, idący na podbój nowych lądów konkwistadorzy różnych narodów z Hiszpanami na czele, szli w nieznane ,a przecież dzięki swojej niezmożonej energji i bohaterskiej odwadze stworzyli jedyną w dziejach ludzkości wspaniałą epopeję zdobywców nowego świata.

Czyżby po kilkuset latach Polak **musiał** jeszcze wykazywać brak decyzji i odwagi w rozszerzaniu zakresu ekspansji narodowej na małym globie ziemskim, już tak bardzo znanym i uregulowanym?

Czy nędza, szalejąca po wsiach i miastach polskich, niewspółmierna z życiem reszty kulturalnego świata, a upakarzająca dla nas, nie daje dostatecznej podniety do intensywniejszego urzeczywistniania wielkiej idei morskiej, niż to się dzieje u nas, w kraju tak bardzo i pod każdym względem zapóźnionym?

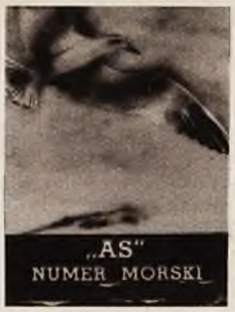
Musimy dla dobra narodu najszerzej pojętego doprowadzić wybrzeże polskie do takiego poziomu, aby pracowało intensywnie i twórczo możliwie najwięcej dla nas, co da się osiągnąć, w logicznem rozwiązaniu budowy własnego portu, przez wzmożenie jakości, ilości i zasięgu naszej bandery handlowej. Powstanie wówczas **niezbędna** konieczność posiadania własnej stoczni, oraz potrzeba uprzemysłowienia naszej stolicy morskiej Gdyni dla celów własnych i reeksportu. — Możemy już dzisiaj postawić sobie jako cel ambitny, aby dzięki naszej wytrwałej pracy, — stało się ukochane przez cały naród, najmłodsze miasto polskie — Gdynia, stolicą i królową portów na Bałtyku.

Gdy więc pracujemy w czoła pocie dla dobra i wielkości Ojczyzny, nie zapominajmy nigdy o naszym wspaniałym dorobku nad zatoką polską, pamiętajmy o wielkiej idei narodowej — idei morskiej i niech na przeciąg wieków stanie się ewangelją dla narodu wielka prawda dziejowa, głosząca, że „trójząb Neptuna będzie zawsze berłem świata".

G. Orlicz-Dreszer

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 26 **Niedziela 28 czerwca 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 26-GO:

Gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, prezes Ligi Morskiej i Kolonjalnej



Zdjęcie specjalnie wykonane dla Magazynu „AS".

Morze nie dość jest kochać, trzeba umieć niem władać.
Warszawa 18/VI-1936 r.

NAPISAŁ SPECJALNIE DLA MAGAZYNU „AS"
KAPITAN MARYNARKI WOJENNEJ
O. ŻUKOWSKI



MARYNARKA WOJENNA RZECZYPOSPOLITEJ

Poprzerzynane szerokiemi, asfaltowemi ulicami tłoczą się czworoboki majestatycznych, stylowych, pełnych słońca i światła, nowoczesnych gmachów.

Instytucje rządowe, banki, gmachy licznych towarzystw okrętow., przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, teatry, hotele, wreszcie nowoczesne olbrzymy mieszkalne — tworzą przepyszną wystawę współczesnej architektury.

To wielkie, tętniące życiem zachodnie miasto — Gdynia.

A dalej, spowity mgiełką dymów, strzelający wysmukłemi ramionami



Na prawo: Torpedowiec „Krakowiak" w pełnym biegu.

Poniżej: Kontrtorpedowce „Burza" i „Wicher"



dźwigów portowych, z lasem masztów i kominów okrętowych — wydziera ziemi coraz to dalsze obszary port handlowy.

To chluba Polski, dzieło naszych rąk, naszych mięśni, naszych mózgów.

A jeszcze dalej, pod kępą Oksywską przywarł zatłoczony jasno szaremi sylwetkami okrętów, poważny i spokojny — port wojenny.

* * *

Tak niedawno, zaledwie szesnaście lat temu obejmowaliśmy nasze wybrzeże.

Jakże inne.....

Oddano nam wówczas sto kilkanaście kilometrów przeważnie piaszczystych wydm, zdobnych w kilka ubogich wiosek rybackich z niewielkiem miasteczkiem nadmorskiem — Puckiem na czele i dwoma minjaturowemi portami rybackiemi w Pucku i na Helu; a pomiędzy niemi lotne piaski, rozległe torfowiska przedhistorycznego koryta Wisły i kilka uroczych zakątków, położonych na stromych brzegach Oksywji, Orłowa oraz Jastrzębiej i Kamiennej Góry.

To wszystko...

Mało, lecz jednocześnie jakże dużo. Mało, bo tylko wybrzeże. Dużo, bo z tego wybrzeża otwierał się dostęp do morza, bezpośredni szlak handlowy do wszystkich narodów, źródło kultury, wiedzy, dobrobytu narodowego i mocarstwowej potęgi.

Nie zaniedbano więc niczego, aby uczynić nasze wybrzeże zdolnem do wykonania tego zadania, jakie spełnia w życiu państwa i narodu.

Tam, gdzie ongi znajdowało się torfowisko, powstał port. Na piaskach dawnej wioski rybackiej wyrosło nowoczesne miasto. Port handlowy zaroił się szeregiem statków handlowych — obcych i naszych — polskich... Idąc pod banderą Białego Orła, powiozły one w świat, na rynki zagraniczne towary polskie; wracały załadowane wytwórczością zamorską.

Od tej chwili ruch ten ciągle się wzmaga, ciągle się rozszerza. Towary polskie zdobywają coraz to nowe rynki zagraniczne — rośnie bogactwo kraju.

A nad tym wybrzeżem, nad całym ruchem handlowym zaszczytne zadanie czujnej, zawsze gotowej do obrony interesów polskich straży pełni Marynarka Wojenna.

Stworzona na mocy dekretu Naczelnika Państwa, Pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego w listopadzie 1918 roku, dziś liczy już w swym składzie dwadzieścia jeden okrętów, z których część bojowych, zdolnych do wszelkich operacyj morskich wykonywanych przez te typy.

Kontr-torpedowce „Wicher" i „Burza", zbudowane we Francji i weie-

lone w skład Floty w 1929 roku, są nowoczesnemi i najsilniejszemi jednostkami na morzu Bałtyckiem tego typu, który podczas wojny światowej zyskał sobie bardzo pochlebną nazwę „uniwersalnego okrętu". Słuszności tego twierdzenia dowodzą najrozmaitsze operacje bojowe, które kontrtorpedowce wykonywały podczas wojny. Tylko dwóch rzeczy dokonać nie mogły — walki w linji i dalekich operacyj krążowniczych. Bo też nie miały i nie mogły mieć potrzebnego do tych zadań — uzbrojenia, opancerzenia i warunków żywotności.

Trzy łodzie podwodne — stawiacze min: „Wilk", „Ryś" i „Żbik" zbudowane również w stoczniach francuskich w tym samym okresie, stanowią broń, mającą za zadanie w pierwszym rzędzie przerywanie handlu morskiego nieprzyjaciela. Co pociąga za sobą utratę swobody linij komunikacyjnych podczas wojny, widzimy z przykładów ostatnich wojen morskich, a w szczególności wojny światowej, kiedy kilkadziesiąt łodzi podwodnych floty niemieckiej tamowało ruch transportów morskich niemal całej zachodniej Europy. Miljony tonn materjału wojennego, żywności, surowców i półfabrykatów nie doszły do miejsca przeznaczenia; setki statków handlowych spoczywają dziś na dnie oceanów i mórz, a między niemi i kilkadziesiąt okrętów wojennych. Wszystko to było dziełem łodzi podwodnych.

Te kontrtorpedowce i łodzie podwodne są zaczątkiem naszej floty bojowej. Mamy też szereg okrętów, należących do typów pomocniczych, czyli takich, których zadania bojowe sprowadzają się do operacyj przybrzeżnych. Należą do takich torpedowce, kanonierki i trawlery.

Pięć torpedowców: „Mazur", „Krakowiak", „Ślązak" i „Podhalanin" — zostały nam przyznane przez Radę Ambasadorów przy podziale byłej floty wojennej Niemiec w 1921 roku. — Okręty te pełnią dziś służbę ćwiczebną, mogą być jednak użyte do właściwych zadań.

Dwie kanonierki: „Komendant Piłsudski" i „Generał Haller", zakupione przez nasz rząd w 1921 roku w Finlandji, stanowią zaczątek floty strażniczej, wreszcie cztery trawlery: „Czajka," „Jaskółka", „Mewa" i „Rybitwa" dopełniają składu okrętów pomocniczych. Okręty te, mające za zadanie wyławianie min zagrodowych, wykonane zostały całkowicie w kraju, na stoczniach w Gdyni i w Modlinie. Piękna ich linja, doskonałe zalety nawigacyjne, dostateczna szybkość i dobre wykonanie, są dowodem, że budowa okrętów wojennych w kraju nie napotyka już dziś na żadne trudności techniczne.

Poza jednostkami bojowemi pomocniczemi każda flota wojenna posiada jeszcze cały szereg okrętów specjalnych, przeznaczonych do obsługi floty działającej. Takiemi okrętami w naszej flocie są: O. R. P. „Sławomir Czerwiński" — pełniący zadanie bazy łodzi podwodnych, O. R. P. „Wilja" — transportowiec wojenny, O. R. P. „Iskra" — szkolny żaglowiec dla ćwiczeń Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej O .R .P. „Smok" — okręt minowy, O. R. P. „Pomorzanin"— okręt hydrograficzny i kilka holowników nie umieszczonych w ogólnej liczbie okrętów wojennych.



Sygnalizacja na łodzi podwodnej „Wilk"

Tak się przedstawia obecny skład czynny naszej floty wojennej. Nie jest to jednak wszystko, gdyż na stoczniach we Francji, Anglji i Holandji budujemy dziś pięć nowych okrętów bojowych. Stocznia francuska wykonuje stawiacz min, któremu została nadana nazwa — „Gryf". Będzie to okręt przeznaczony do stawiania min zagrodowych na otwartem morzu. Zostanie on niebawem spuszczony już na wodę.

Angielskie stocznie budują dwa nowe kontrtorpedowce: „Grom" i „Błyskawica" — większe i silniejsze od posiadanych, w Holandji zaś rozpoczęto budowę dwóch dalszych łodzi podwodnych.

Najbliższe więc lata wzbogacą naszą flotę o pięć nowoczesnych jednostek. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że to na „tymczasem" wystarczy. — Wszystko co dziś mamy i te jednostki, które budujemy, stanowią zaledwie małą cząstkę floty, jaką winniśmy stworzyć, aby interesy nasze na morzu, zakreślające coraz to szersze kręgi — mogły być skutecznie obronione i zabezpieczone.

Poco tyle pracy nad stworzeniem własnego portu, naco starania o rynki zagraniczne, poco prowadzenie rozbudowy floty handlowej, kiedy wszystko to bez odpowiedniej marynarki wojennej, zdolnej utrzymać i obronić te bogactwa, będzie domkiem z kart, który pierwszy podmuch zawieruchy wojennej obali.

Tylko bowiem silna flota wojenna, posiadająca wszystkie rodzaje okrętów może zagwarantować trwałość i całość naszego wybrzeża, wolność dróg morskich i potęgę państwa.

To też obowiązkiem każdego dobrego obywatela — jest uznać konieczność posiadania silnej marynarki wojennej i w miarę sił przyłożyć ręki do jej stworzenia. Kiedy zaś każdy Polak, obowiązek swój w ten sposób spełni — staniemy się naprawdę wielkim i bogatym Narodem.



Statek „Bałtyk" w porcie wojennym na Oksywju.



Poniżej: Łódź podwodna „Ryś".

Fot. O. Żakowski

„Ptaki", które strzegą polskiego wybrzeża...



Eskadra hydroplanów, zbliżająca się do portu lotniczego w Pucku.
(Zdjęcie z filmu „Symfonja Bałtyku")



Na lewo: Komandor-ppor. pilot E. Szystowski, dowódca Morskiego Dywizjonu lotniczego w Pucku.



Na prawo: Komandor-por. pilot-obserwator K. Trzasko-Durski, kierownik departamentu lotnictwa morskiego M. S. Wojsk.

„Lecieć, a nie dać się mijać"...
(Wyspiański, „Wesele").

Jak niegdyś na dalekich rubieżach wschodnich Rzeczypospolitej czuwali dniem i nocą, w stanicach kresowych, czujni strażnicy-rycerze, sokolim wzrokiem śledząc każdy ruch dzikich hord, zagrażających Rzeczypospolitej, tak dziś, na tym najdalej wysuniętym na północ krańcu Polski, tuż przy granicy, naszego odwiecznego wroga, czuwa również straż, uzbrojona w cały arsenał środków obronnych... Straż ta, stanowi chlubę i dumę brzegu polskiego i jedną z najsilniejszych podpór naszej marynarki wojennej. Mamy na myśli lotnictwo morskie. Najbardziej szczyci się niem prastary Puck, gdyż w tym grodzie nadmorskim, stanowiącym za czasów Władysława IV pierwszy port wojenny Rzeczypospolitej, nastąpiły przed 16-tu laty, narodziny tej jednej z najmłodszych gałęzi wojska polskiego.

Nie od rzeczy więc będzie poświęcić parę słów naszej awiacji morskiej, która z każdym rokiem wspanialej się rozwija, nabierając coraz większego rozgłosu, coraz większego znaczenia i splendoru. Udajemy się do gniazda naszych „ptaków" nadmorskich i mamy wyjątkowe szczęście. W gabinecie dowódcy lotnictwa morskiego p. pil. komandora-podpor. Edwarda Szystowskiego, zastajemy przybyłego z Warszawy kierownika lotnictwa marynarki wojennej p. pil.-obs. komand. por. Karola Trzasko-Durskiego, byłego dowódcę lotnictwa w Pucku, zasłużonego organizatora polskiej awiacji morskiej.

— Wywiad dla „Asa"! — Przedewszystkiem obaj rozmówcy wyrażają pochlebne i niezwykle życzliwe uwagi na temat „podboju", jakiego „As" dokonał we wszystkich zakątkach kraju. Następnie, nieoczekiwanie padają słowa p. komandora Szystowskiego:

— Poco panu redaktorowi wywiad? Zna pan nas nie od dziś — patrzył pan na nasze „wyklówanie"! — dowcipnie zauważa p. komandor Trzasko-Durski — więc proszę napisać to, co przeżywał pan z nami na wybrzeżu polskiem i na co dziś pan patrzy! Nie pozostaje więc nam nic innego, jak zastosować się do życzenia dowódcy lotnictwa.

Z prawdziwą przyjemnością przychodzi nam nakreślić parę słów o tych dzielnych synach podniebnych naszego morza. Zapał, sumienne pojmowanie obowiązków, a przedewszystkiem umiłowanie zawodu lotników morskich przez personał latający lotnictwa morskiego, przyczynia się, że ono teraz poszczycić się może na tem polu poważnemi sukcesami. Praca kilkuletnia komandora Trzasko-Durskiego, a następnie obecnego komandora E. Szystowskiego, przyczyniła się, że lotnictwo morskie, tak mało znane w głębi kraju, wychodzi z roli Kopciuszka i wybija się na przodujące stanowisko w lotnictwie polskiem. Postęp jest tak wielki i wspaniały w ciągu tych krótkich 16 lat, że musi budzić serdeczny podziw. Potężny wysiłek znojnej pracy organizacyjnej widoczny na każdym kroku. O spadku po Niemcach szkoda mówić, — wszystko na nowo trzeba było przeorać, budować, tworzyć. Lotnictwo morskie powstało poprostu z niczego. Zapał robił wszystko, zapał szczery, serdeczny, a nadewszystko duma, że tu nad zatoką Pucką, gdzie dokonał się historyczny moment zaślubin morza polskiego z Macierzą, garstce ludzi udało się dokonać dzieła, godnego swych twórców.

Początkowo lotnictwo morskie składało się z 2 eskadr i parku. W miarę przybywania wodnopłatowców utworzono dywizjon. W roku 1921 zastąpiono aparaty niemieckie włoskimi, a w roku 1924 zamieniono je na wodnopłatowce francuskie. Od tej chwili morski dywizjon lotniczy, rozporządzając wodnopłatowcami pierwszorzędnej jakości, stał się poważną jednostką bojową. Od 1932 roku sprzęt pochodzenia francuskiego zamieniono na wodnopłatowce polskie. Do złotemi zgłoskami zapisanych kart lotnictwa morskiego należy zima 1929 r., gdy część wybrzeża straciła łączność ze światem a wodnopłatowce polskie zaopatrywały Hel w żywność oraz pełniły czynności ambulansów pocztowych. Poza tem dzień w dzień przy mrozach, dochodzących do 40 stopni poszukiwano okręty, uwięzione w lodach i odcięte na długi czas od lądu. Obecnie lotnictwo morskie posiada wszystkie warunki, aby mogło się rozwinąć i wespół z flotą bronić dostępu do morza.

Puck kocha swych lotników morskich, zżył się z nimi, odczuwa boleśnie i okrywa się cały żałobą, gdy któremuś z bohaterów szlaków morskich i powietrznych przyjdzie zginąć śmiercią lotnika. Znaczyła się mogiłami ziemia pucka; skromny cmentarz dźwiga niejeden krzyż z uwieszonem śmigłem lotniczem... Smutnie się znaczył szlak wysiłków lotników morskich. Ginęli dla dobra sprawy, dla ugruntowania potęgi Rzeczypospolitej, na tych najcenniejszych rubieżach kraju.

Dziś więc łączymy się wspomnieniami z minioną przeszłością, biorąc serdeczny udział w smutkach i radościach — benjaminka wojska polskiego — morskiego dywizjonu lotniczego w Pucku. Szczere uczucia przywiązania, z jakiem spogląda na swych granatowych obrońców polskiego morza, cały kraj, niech będą podnietą do dalszej ich pracy nad utrwaleniem potęgi naszego państwa nad Bałtykiem!

Alfred Świerkosz (Puck).

Poniżej: Wodnopłatowiec „Latham" na dźwigu przed opuszczeniem na wodę w porcie w Pucku.

Poniżej: Zdjęcie lotnicze półwyspu Helskiego, widzianego od Wielkiej Wsi — Hallerowa.





KĄCIK FILATELISTYCZNY

ZNACZKI POD ZNAKIEM MORZA.

Kto z nas filatelistów tak młodych jak i podeszłych wiekiem nie tęskni do krajów dalekich, położonych hen za falami oceanów poprzez które poczta niesie nasze listy i myśli!

I czy każdy z nas nie wie, że ten kto panuje nad falami oceanu, ten panuje nad światem,, a bohaterowie, którzy odważyli się narażać życie we wyprawach w „naprawdę nieznane" pchnęli ludzkość na nowe tory postępu!

Prawdziwą satysfakcją zbieracza jest móc przypomnieć przy tej sposobności, że wiekopomne odkrycia i wyprawy zostały już dawno przedstawione na znaczkach pocztowych. Oto okręt admiralski Kolumba, drobna łupinka ważąca tyle co ster i śruby na „Queen Mary". który niesiony niepewnemi wichrami dotarł pierwszy do „Nowej Ziemi". I rzeczywiście, pierwsza jubileuszowa serja, jaką wydano na świecie została wydrukowana właśnie w 400-lecie odkrycia Ameryki i przedstawia wszystkie ważniejsze chwile z życia Krzysztofa Kolumba.

W 1498 roku Vasco de Gama przybywa do Kalkuty — odkrycie nowej drogi do Indji i na „daleki Wschód" ma równe omal znaczenie co wyczyn Genueńczyka. Flotę portugalską widzimy na znaczku za 5 reis, a inną wartość z tej samej serji przedstawia wspaniały dziób okrętu ozdobiony statuą świętego.



Polskie znaczki, symbolizujące morze.

Przeszło 300 lat mija od tych czasów, i nowy wynalazek przeobraża świat: siłę pary zastosowuje Fulton do popędu okrętów i w 1809 roku pierwszy parowiec przybija do portu w Nowym Jorku po zwycięskim przebyciu oceanu. Upłynęła już bezpowrotnie epoka galer panujących nad morzem Śródziemnem i hanzeatyckich żaglowców, prujących fale Bałtyku, a wiek XX wita wreszcie znowu polską banderę, ukazującą się na morzach całego świata.

Już nawet w r. 1919 I. Sejm żąda dla „Białego Orła" własnych wybrzeży, nad któremi by mógł panować. Zwolna powstaje polska flota morska wojenna i handlowa, i nadrabiamy znacznie szybciej niżby się ktokolwiek mógł spodziewać lata zaniedbania w czasach niewoli kiedy zaborcy niedopuszczali polskiego elementu tam, gdzie tylko chodziło o sprawy z morzem związane.

Trudno a nawet niemożliwem dzisiaj dla Polski jest zdobycie siłą posiadłości zamorskich, których naród nasz ze względu na nadzwyczajny swój rozrost potrzebuje. Ale pokażmy światu, że potrafimy budować i kierować własną wspaniałą flotą, że wysiłek nasz zasługuje na to, aby być uwieńczonym prawdziwym sekcesem. Nie potrzeba nam narazie tak silnej floty wojennej jak ją posiada dzisiaj nasz sąsiad zachodni, ale kto wie czy jeszcze nie ujrzymy kiedy na polskich znaczkach fotografji admiralskiego dreadnaughta O. R. P. „Piłsudski".

Mamy nowy kraj filatelistyczny „Colonia Italiana Etiopia!" — Zwycięskie zakończenie wojny odzwierciedliło się już na znaczkach, lecz młodzi zbieracze widzieliby na tych znaczkach chętniej np. wojska włoskie wkraczające w triumfie do Addis-Abeby lub może wizerunek zwycięskiego marszałka Badoglio, a obecnego wicekróla. W każdym razie wobec ogłoszenia króla włoskiego cesarzem Etjopji, napis „poste coloniale" cośkolwiek się z tem nie zgadza i przewidujemy, że inflacja nowych seryj nastąpi, w bardzo krótkim czasie. Narazie wydano tylko 3 wartości za 25, 30 i 50 cent. Napisy są, oprócz włoskiego w 2 językch, data wydania: 9 maja 1936 r. — Anno XIV ery faszystowskiej.



Morze na znaczkach pocztowych 1) W. M. Gdańsk — okr t żaglowy XVII w. 2) Znaczek portugalski z z okazji 400-leci i podróży odkrywczych 3) U. S. A. — okręt admiralski Kolumba. 4) U.S A. pierwszy parowiec na wodach Stanów Zjednoczonych. 5) Portugalja-Vasco da Gama przybywa do Kalkuty.



HAPLOTHEUXIS • FEROX

NOWELA

H. G. WELLS

PRZEKŁAD W. DE RICHE

I.

Do czasu tragicznego wypadku w Sidmouth wiedzieli uczeni o niezwykłym gatunku Haplotheuxis ferox bardzo mało. O istnieniu jego świadczyły jednak napół strawione macki, wyłowione w pobliżu Azorów i rozkładający się już tułów, rozdziobany przez ptaki i ogryziony przez ryby, a znaleziony z początkiem 1896 r. przez Mr. Jennigsa w pobliżu Land's End.

W istocie, w żadnym dziale zoologji nie błądzimy tak poomacku, jak w odniesieniu do głębinowych głowonogów morskich. Jedynie przypadek stał się powodem odkrycia przez księcia Monaco prawie tuzina nowych form w lecie 1895 r., odkrycia, które obejmowało też wspomniane wyżej macki. Zdarzyło się, że poławiacze wielorybów zabili w pobliżu Terceiry kaszalota, który w czasie przedśmiertnej agonji podpłynął prawie do yachtu księcia, minął go, wywrócił się brzuchem do góry i zdechł w odległości dwudziestu yardów od jego steru. I w czasie agonji wyrzucił pewną liczbę wielkich przedmiotów, które książę, widząc, że mają dziwny kształt i nieprzeciętną wielkość, zdołał, szczęśliwym trafem, wyłowić, zanim utonęły. Puścił w ruch śruby okrętowe i utrzymywał przedmioty w kłębiącym się wirze, dopóki nie spuszczono łodzi. Okazało się, że były to całe głowonogi i części głowonogów, niektóre potwornych rozmiarów i wszystkie prawie nieznane uczonym!

W istocie, należałoby wnosić, że te wielkie i zwinne zwierzęta, żyjące w średnich głębinach morza, muszą w znacznej części pozostać dla nas na zawsze nieznanemi, gdyż pod wodą poruszają się zbyt szybko i nie dają złowić się w sieci tak, że jedynie w rzadkich i nieprzewidzianych przypadkach człowiek ma możność oglądania ich. Jeśli chodzi n. p. o Haplotheux ferox to dotąd nie wiemy nic o jej życiu tak, jak nie wiemy, gdzie lęgną się śledzie i jakiemi drogami podąża łosoś. Zoologowie nie umieją nawet wytłómaczyć jej nagłego pojawienia się na naszem wybrzeżu. Być może, że głód wypędził ją z głębiny. Ale lepiej będzie nie bawić się w niepotrzebne dysputy i przystąpić odrazu do naszego opowiadania.

Pierwszym człowiekiem, który widział żyjącą Haplotheuxis — to jest pierwszym człowiekiem, który spotkania tego nie przypłacił życiem, gdyż dzisiaj nie ulega wątpliwości, że cały szereg nieszczęśliwych wypadków podczas kąpieli i w czasie wycieczek łodzią, które zaszły w Kornwalii i Dewonie z początkiem maja, spowodowane zostały właśnie przez nią, — był sprzedawca herbaty nazwiskiem Fison, który mieszkał w jednym z domków w Sidmouth. Było to po południu; szedł ścieżką, wiodącą przez skały z Sidmouth do zatoki Landram. Skały są w tej okolicy bardzo wysokie, ale w jednem miejscu zrobiono coś w rodzaju schodów z poręczami, które prowadzą na wybrzeże. Był właśnie w pobliżu nich, kiedy uwagę jego zwróciło coś, co w pierwszej chwili uważał za stado ptaków, bijących się o szczątki jakiegoś ciała, które jaśniało w słońcu. Wtedy odbywał się odpływ i przedmiot ten znajdował się nietylko daleko w dole, ale dzieliła go od brzegu duża przestrzeń, zajęta przez rafy, pokryte czarnemi wodospadami i pooddzielane srebrzystemi stawkami wody morskiej. Uderzyło go również i to, że woda w oddali lśniła w dziwny sposób.

Po chwili, spojrzawszy znowu w tamtą stronę, spostrzegł, że ciało, ponad którem krążyły morskie ptaki jest większych rozmiarów, niż przypuszczał. I zbudziła się w nim ciekawość, gdyż nie umiał wytłumaczyć sobie, co to ma znaczyć.

Ponieważ nie miał nic do roboty i zażywał przechadzki dla przyjemności, postanowił przekonać się, co to za przedmiot i uczynić go celem obecnego spaceru, przypuszczając, że może to być jakaś wielka ryba, wyrzucona na brzeg i miotająca się wśród skał. Zaczął więc schodzić nadół po stromych stopniach, zatrzymując się co trzydzieści stóp, aby odpocząć i spojrzeć w stronę tajemniczego przedmiotu.

U podnóża skał — rzecz prosta — bliżej niego, niż na górze, ale z drugiej strony na tle nieba, pod słońcem, przedmiot wydawał się teraz ciemny i niewyraźny. Część jego była obecnie zasłonięta przez pokryte wodorostami głazy. Zauważył jednak, że składa się on z siedmiu okrągłych ciał, zupełnie dobrze widocznych i że ptaki krążą nad niem wciąż z piskiem i wrzaskiem, ale lękają się do niego zbliżyć.

Mr. Fison zdjęty ciekawością, wybrał drogę wprost przez skały, a przekonawszy się, że pokrywające je wodorosty są bardzo śliskie, zatrzymał się, zdjął buty i skarpetki i zawinął spodnie ponad kolana. Chciał uniknąć przedewszystkiem wpadnięcia do któregoś ze stawków wśród skał i może był rad, jak wszyscy ludzie, że ma sposobność wrócić, chociaż na krótko, do zabawy z lat chłopięcych. W każdym razie, nie ulega wątpliwości, że tej okoliczności zawdzięcza życie.

Zbliżał się do celu z pewnością, która opierała się na dokładnej znajomości wszystkich gatunków zwierząt, mieszkających w tej okolicy. Okrągłe ciała poruszały się ciągle, ale dopiero po przebyciu raf, o których wspominałem, zdał sobie sprawę ze swego straszliwgo odkrycia. Przyszło to na niego zupełnie niespodziewanie.



Okrągłe ciała opadły, kiedy przebył rafy i oczom jego ukazało się częściowo już zjedzone ciało człowieka, jakkolwiek nie mógł odróżnić, czy to było ciało mężczyzny, czy kobiety. A okrągłe przedmioty były, nieznanemi, straszliwemi zwierzętami, przypominającemi trochę z kształtu ośmiornicę, z grubemi i bardzo długiemi mackami, które wiły się w kłębach na ziemi. Skóra ich była lśniąca, jakby wygarbowana, a widok jej budził wstręt. Macki otaczały gębę, a dziwnego kształtu wyniosłości, dokoła niej, macki i wielkie, rozumne oczy, nadawały tym stworom wygląd groteskowy. Były wielkości świni domowej, a macki ich miały kilka stóp długości. Zwierząt było, jak mu się zdawało, conajmniej siedem lub osiem. — W odległości dwudziestu yardów poza niemi, wyłaniało się z morza jeszcze dwoje.

Ciała ich spoczywały płasko na skałach, a oczy przyglądały mu się złośliwie, jakby z zaciekawieniem; zdaje się jednak, że Mr. Fison ani się nie przestraszył, ani nie rozumiał. w jakiem znajduje się niebezpieczeństwie. Być może, że powolne ich ruchy czyniły go pewnym siebie. Rzecz prosta jednak, że był zdjęty grozą, niezwykle podnieceony i oburzony, że te obrzydliwe zwierzęta pasły się ludzkiem ciałem Przypuszczał, że wyciągnęły z wody zwłoki topielca. Krzyczał na nie, aby je odpędzić, a widząc, że nie uciekają, rozglądnął się, znalazł jakiś kamień i rzucił go na jedno z nich.

I wtedy, rozwijając zwolna macki, ruszyły wszystkie na niego, zrazu pełznąc z rozwagą i przywołując się cichem mruczeniem.

W jednej chwili Mr. Fison uprzytomnił sobie, że jest w niebezpieczeństwie. Krzyknął znowu, rzucił buty i zaczął biec. W odległości dwudziestu yardów odwrócił się i stanął, przekonany o powolności ich ruchów, ale ujrzał, że macki pierwszego zwierzęcia przebyły już próg skalny, na którym znajdował się jeszcze przed chwilą!

Widząc to, krzyknął, tym razem ze strachu i ruszył. co sił starczyło, przeskakując, ślizgając się, potykając i brnąc w wodzie przez nierówną przestrzeń, dzielącą go od brzegu. Wielkie, czerwonawe skały wydały mu się teraz bardzo dalekie i widział, jakby to były istoty z innego świata, dwóch maleńkich robotników. zajętych naprawą schodów i nie domyślających się, że wdole, u ich stóp. odbywa się w tej właśnie chwili bieg śmiertelny. Raz czy dwa razy usłyszał w odległości jakich dwunastu stóp, plusk wody w stawkach, świadczący, że zwierzęta nie zaprzestały pościgu, a raz potknął się i o mało nie upadł.

Ścigały go do samych skał i dały za wygraną dopiero wówczas, kiedy połączył się z pracującymi u stóp schodów robotnikami. Wszyscy trzej obrzucali je przez chwilę kamieniami, a potem ruszyli po schodach na szczyt skał i ścieżką do Sidmouth, aby prosić o pomoc, celem wyrwania shańbionego ciała z paszczęk tych straszliwych zwierząt.

II.

I jakby niedość było Mr. Fisonowi, że uszedł dnia tego przed śmiertelnem niebez-

pieczeństwem, wybrał się on jeszcze łodzią, aby pokazać, gdzie go spotkała ta straszliwa przygoda.

Ponieważ woda opadła, trzeba było objeżdżać łodzią dookoła, a kiedy wkońcu dotarli do raf, naprzeciw skalnej drabiny, ciała już nie było. Zaczynał się przypływ i śliskie skały znikały jedna po drugiej pod wodą. Czterech ludzi w łódce — robotnicy, sternik i Mr. Fison — zwróciło teraz uwagę na wodę, pod swemi stopami.

Zrazu widzieli bardzo mało... ciemny gąszcz blaszecznic i tu i ówdzie przepływające ryby. Umysły ich nastawione były na przygodę, to też nie żałowali sobie słów rozczarowania. Nagle ujrzeli jednego z potworów wśród morskich wodorostów. Płynął w stronę morza, dziwnym, pełznącym ruchem, który przypominał Mr. Fisonowi poruszanie się balonu na uwięzi. Zaraz potem, wstęgi blaszecznicy poruszyły się, rozdzieliły na chwilę i ukazało się troje tych zwierząt. Walczyły prawdopodobnie o szczątki zwłok utopionego. Ale rozliczne, oliwkowo-żółte pasma blaszecznicy zasłoniły je niebawem przed oczyma patrzących.

Wszyscy czterej, bardzo podnieceni, zaczęli teraz bić w wodę wiosłami i krzyczeć. W gąszczu wodorostów zapanowało zaraz dziwne ożywienie. Przerwali na chwilę, aby lepiej widzieć, a kiedy powierzchnia wody stała się znowu gładką, ujrzeli — tak im się przynajmniej zdawało — na dnie morskiem, pomiędzy wodorostami, same oczy.

— Przeklęte świnie! — zawołał jeden z nich. — Przecież tam ich jest cały tuzin!

I teraz zwierzęta zaczęły sunąć wgórę przez wodę. Mr. Fison opisywał nieraz ciekawym ten straszliwy wypad błaszecznicy zpośród kołyszących się łąk. Zdawało mu się, że trwał on dłuższą chwilę, ale prawdopodobnie była to kwestja kilku sekund. Zrazu nic tylko oczy były widoczne, a potem zaczęły wyłaniać się zpośród wodorostów również macki. Potwory widać było coraz wyraźniej, aż wkońcu całe dno było zakryte ich pełzającemi kształtami, a końce macek ukazywały się tu i ówdzie ponad powierzchnią wód.

Jeden z nich śmiało zaatakował łódź i przyczepiwszy się trzema ramionami do jej boku, przerzucił cztery inne przez burtę, jakby chciał przewrócić łódkę lub wedrzeć się do niej. Mr. Fison chwycił zaraz za bosak i bijąc wściekle w miękkie macki, zmusił zwierzę do odwrotu. Otrzymał potężny cios w plecy i o mało nie został wyrzucony z łódki przez sternika, który odpierał przy pomocy wiosła podobny atak z drugiej strony. Macki wypuściły zdobycz i zniknęły im z oczu, ukrywając się w wodzie.

— Lepiej będzie, jeśli się wycofamy — rzekł Mr. Fison, który drżał na całem ciele. Przeszedł na tył łodzi, podczas kiedy sternik i jeden z robotników usiedli i zaczęli wiosłować. Drugi robotnik stał na przodzie łódki, z bosakiem, gotowy odeprzeć każdy następny atak macek. Nikt nie rzekł więcej słowa. W milczeniu, z twarzami blademi i przerażonemi, usiłowali wycofać się z miejsca, dokąd się nieopatrznie zapędzili.

Zaledwie jednakże wiosła zanurzyły się w wodzie, skrępowały je ciemne, ruchliwe wężowe liny, które oplotły także ster... — Wzdłuż boków łodzi zaczęły znowu pełzać macki. Ludzie ujęli silniej wiosła, usiłując je oswobodzić, ale łódź była, jakby uwięziona w gąszczu wodorostów. — Pomóżcie mi! — zawołał sternik i Mr. Fison oraz drugi robotnik pospieszyli mu z pomocą, aby wyciągnąć wiosło.

Potem człowiek z bosakiem — nazywał się Ewan lub Ewen — przyskoczył z przekleństwem i zaczął uderzać w ławicę macek, które czepiły się dna łodzi. I w tym samym czasie obaj wiosłujący wstali, aby im łatwiej było oswobodzić wiosła. Sternik wręczył swoje wiosło Mr. Fisonowi, który walczył rozpaczliwie, a sam otworzył wielki nóż składany i przechylając się przez burtę, zaczął odcinać trzymające się wioseł ramiona.

Mr. Fison, chwiejąc się na nogach, gdyż łódka wciąż się kołysała, z zaciśniętemi zębami, dysząc ciężko i ciągnąc za wiosło z taką siłą, że żyły nabrzmiały mu na rękach, spojrzał nagle w stronę morza. I tam, w odległości niespełna pięćdziesięciu yardów, poprzez długie fale nadchodzącego przypływu, zmierzała wprost ku nim wielka łódź, z trzema kobietami i dzieckiem. Sternik wiosłował, a niski mężczyzna w słomkowym kapeluszu z czerwoną wstążką, stał przy sterze, kierując łodzią. Mr. Fison pomyślał o niebezpieczeństwie i o dziecku. Porzucił swoje wiosło, rozłożył ręce z gestem rozpaczy i zaczął nawoływać na płynących w łodzi, wzywając ich gwałtownie do powrotu. Świadczy to dodatnio o skromności i odwadze Mr. Fisona, że nie zdawał sobie sprawy, iż postępek jego był w danych okolicznościach bohaterstwem. Wiosło, które wypuścił z rąk, zniknęło pod wodą i wypłynęło dopiero w odległości jakich dwudziestu yardów.

W tej chwili Mr. Fison uczuł gwałtowne wstrząśnienie, a głuchy krzyk, krzyk zgrozy, jaki wydał sternik Hill, kazał mu zapomnieć o grupie wycieczkowiczów. Odwrócił się i ujrzał, że Hill klęczy na przodzie łodzi, z twarzą wyrażającą przerażenie z prawą ręką przerzuconą poprzez burtę i unieruchomioną. Wydał on teraz kilka krótkich, ostrych krzyków: „Oh! oh! oh! — oh! Mr. Fison jest przekonany, że musiał on obcinać macki pod powierzchnią wody i został przez nie uchwycony, ale rzecz prosta, trudno powiedzieć, co się właściwie stało. Łódź przechyliła się na bok tak, że brzeg jej znalazł się w odległości zaledwie dziesięciu cali od wody, a Ewan i drugi robotnik zaczęli uderzać wiosłem i bosakiem, po obu stronach ręki Hilla. Mr. Fison stanął innstynktownie po drugiej stronie łodzi, dla równowagi.

Potem Hill, który był rosłym, silnym mężczyzną, zdobył się na potężny wysiłek i udało mu się powstać na chwilę. Wyciągnął rękę z wody. Zwieszała się z niej splątana sieć brunatnych lin; a oczy jednego z trzymających ją zwierząt, śmiałe i dzikie, ukazały się na chwilę ponad powierzchnią. Łódka przechylała się coraz bardziej i zielonawa woda zaczęła przelewać się już przez burtę. Wtem Hill pośliznął się, upadł na bok, a ręka jego i masa macek opadły zpowrotem w wodę. Przechylił się poza burtę: kopnął w kolano Mr. Fisona w chwili, kiedy ten chciał go pochwycić, a w następnej chwili świeże macki okręciły się około jego piersi i karku i po krótkiej, rozpaczliwej walce, w której łódź o mało się nie wywróciła, Hill został ściągnięty do wody. Łódź wyprostowała się tak gwałtownie, że Mr .Fison omało co z niej nie wypadł i ukryła walczącego w wodzie przed jego wzrokiem.

Stał przez chwilę, usiłując odzyskać równowagę, a kiedy mu się to udało, spostrzegł, że walka z potworami i wzmagający się przypływ, zaniosły ich zpowrotem na pokryte wodorostami rafy. W odległości jakichś czterech yardów płyta skalna ukazywała się jeszcze od czasu do czasu ponad powierzchnią morza. W jednej chwili Mr. Fison wyrwał wiosło z rąk Ewana i jednem potężnem uderzeniem sprowadził łódź pod skałę, a potem, porzuciwszy wiosło, pobiegł na przód łodzi i skoczył. Pośliznął się, ale z nadludzkim wysiłkiem udało mu się odzyskać równowagę... skoczył na dalszą skałę, potknął się, upadł na kolana i znowu powstał.

— Uwaga! — zawołał ktoś i jakieś wielkie ciało spadło na niego. Jeden z robotników strącił go do miejsca wypełnionego wodą, a kiedy upadał, usłyszał głuche okrzyki, które, jak sądzi, wydawał Hill. Intonacja i różnorodność głosu Hilla zdumiały go. Ktoś przeskoczył przez Fisona, a potem przeszła nad nim fala spienionej wody. Zerwał się na nogi, przemoczony do nitki i nie oglądając się za siebie, zaczął biec w stronę brzegu tak szybko, jak mu na to przerażenie pozwalało. Przed nim, przeskakując ze skały na skałę, biegli dwaj robotnicy — jeden wyprzedzając drugiego o dwanaście yardów.

Oglądnął się wreszcie i widząc, że go nikt nie ściga, przystanął. Był w najwyższym stopniu zdziwiony. Od chwili wyłonienia się głowonogów z wody, działał zbyt szybko, aby sobie w całej pełni zdać sprawę z tego, co czyni. Teraz zdawało mu się, jakby zbudził się nagle z okropnego snu.

Spojrzał na niebo bez chmurki, jaśniejące w popołudniowem słońcu, lśniące bezlitośnie morze, pokryte białą pianą, grzbiety fal i długie, ciemne rafy. Łódź kołysała się, wznosząc się i opadając łagodnie na wodzie, w odległości dwunastu yardów od brzegu. Hill i potwory, zgiełk i zamieszanie tej dzikiej walki o życie, zniknęły jakby nigdy nie istniały.

Serce Mr. Fisona biło gwałtownie; wspiął się na palce, oddychając ciężko.

Czegoś brakowało. Przez kilka sekund nie wiedział, co to mogło być. Słońce, niebo, morze, skały — co to było takiego? Potem przypomniał sobie łódź z wycieczkowiczami. — Zniknęła! Zastanawiał się i ujrzał dwóch robotników, stojących obok siebie, pod wysokiemi, czerwonawemi skałami wybrzeża. Wahał się, czy nie próbować jeszcze ratować Hilla. Fizyczne podniecenie opuściło go jednak nagle i pozostawiło go bezradnym i bezsilnym. Zawrócił do brzegu, ku swoim dwom towarzyszom, potykając się i brnąc przez wodę.

Obejrzał się za siebie raz jeszcze i ujrzał teraz, na falach morza, dwie łodzie... Jedna z nich, oddalona bardziej od brzegu, była wywrócona dnem do góry.

III.

W taki to sposób Haplotheuxis ferox pojawiła się po raz pierwszy na wybrzeżach Devonshiru. Opowiadanie Mr. Fisona, w związku z licznemi wypadkami podczas kąpieli i wycieczek łodzią, o których już wspominałem i zupełny brak ryb na wybrzeżu Kornwalji w tym właśnie roku, świadczą, że wzdłuż podmorskiej linji wybrzeża posuwały się zwolna gromady tych krwiożerczych potworów głębinowych. — Wiem, że jako przyczynę, która wypędziła ich w te strony, podawano głód, mnie jednak przemawia do przekonania raczej teorja Hemsleya. Hemsley utrzymuje, że jakieś stado lub ławica tych zwierząt zakosztowała przypadkiem ludzkiego mięsa, napadłszy na tonący pośród nich okręt i wywędrowała, w poszukiwaniu za niem z swych zwykłych siedzib; posuwając się za okrętami, przybyły one na wybrzeża zwrócone ku pełnemu morzu. Ale nie czas zastanawiać się nad trafnemi i przemawiającemi do przekonania uwagami Hemsleya.

Zdaje się, że apetyty ławicy potworów zaspokoiło porwanie jedenastu ludzi — gdyż o ile wiadomo — w drugiej łodzi znajdowało się dziesięciu ludzi, którzy nigdy już nie dali o sobie znaku życia. Na wybrzeżu, między Seaton i Budhleigh Salterton patrolowały tego wieczoru i nocy cztery łodzie strażnicze, których załoga uzbrojona była w harpuny i noże, a do nich przyłączyła się pewna liczba mniej lub więcej podobnie wyekwipowanych wypraw, zorganizowanych przez osoby prywatne. Mr. Fison nie wziął udziału w żadnej z nich.

Około północy usłyszano wołania z łodzi w odległości dwóch mil na południowy wschód od Sidmouth i ujrzano latarnię, poruszającą się w dziwny sposób wgórę i nadół oraz od lewej strony ku prawej. Bliższe łodzie pospieszyły natychmiast z pomocą. Awanturnicza załoga tej łodzi złożona z czterech osób, w tem dwóch chłopców w wieku szkolnym, widziała rzeczywiście potwory, przepływające pod nimi. Zwierzęta te, jak większość organizmów głębinowych, fosfory-

zowały w ciemnościach, tak, że widać je było zupełnie wyraźnie. Płynęły w głębokości pięciu węzłów jak widma, przez ciemne wody ze zwiniętemi mackami i jakby we śnie. Przewracając się i kołysząc zwolna, sunęły ku południowemu wschodowi.

Ludzie ci, gestykulując, opowiadali o tem załodze, najpierw jednej a potem drugiej łodzi, które zjawiły się na miejscu. Wkońcu zebrała się tam mała flotylla, złożona z ośmiu lub dziewięciu łodzi i wśród nocnej ciszy wszczął się hałas, jak na jarmarku. Nikt nie zdradzał wielkiej ochoty do ścigania zwierząt, gdyż ludzie nie mieli ani broni, ani doświadczenia w tym kierunku i po pewnym czasie — być może nawet, że ku zadowoleniu wszystkich — łodzie zawróciły do portu.

Oto, co jest może najbardziej zdumiewającym szczegółem w tym całym najeździe. Nie mamy najmniejszego pojęcia, co stało się później z potworami, chociaż szukano ich wzdłuż całego południowo-zachodniego wybrzeża. Pewne znaczenie ma fakt, że trzeciego lipca wyrzucony został na brzeg w Sark nieżywy kaszalot. W dwa tygodnie i trzy dni po wypadkach w Sidmouth znaleziono żyjącą Haplotheuxis na piaskach Calais. Żyła jeszcze, ponieważ kilku świadków widziało, jak macki jej zwijają się i rozwijają konwulsyjnie, ale prawdopodobnie ginęła. Jeden z mieszkańców, nazwiskiem Pouchet, wziął strzelbę i zastrzelił ją.

Od tego czasu nie widziano żywej Haplotheuxis. W każdym razie nie widziano jej na francuskiem wybrzeżu. Piętnastego lipca morze wyrzuciło na brzeg, w pobliżu Torquay jeden nieżywy, prawie nieuszkodzony okaz, a w kilka dni później łódź z Morskiej Stacji Biologicznej zajęta dragowaniem w pobliżu Plymouht, wyłowiła jednego z potworów w stadjum rozkładu, z głęboką raną od noża. Niewiadomo, w jaki sposób zginął pierwszy z wspomnianych okazów. A ostatniego lipca Mr. Egbert Caine, artysta, kąpiący się w pobliżu Newlin, podniósł rękę wgórę, wydał przeraźliwy okrzyk i zniknął pod wodą. Kąpiący się z nim przyjaciel nie próbował go ratować, ale popłynął zaraz do brzegu. Oto ostatni fakt, odnoszący się do tej niezwykłej wyprawy, o której trudno powiedzieć, czy to wistocie ostatnia wyprawa. Ale takie jest powszechne zdanie; należy się spodziewać, że potwory wróciły już i to na dobre w mroczne głębiny średniego morza, które opuściły w tak dziwny i tajemniczy sposób.

***Dr K. Buczkowski**, Kustosz Muzeum Narodowego w Krakowie.*

Kościół ewangelicki na HELU



Wnętrze kościółka helskiego z charakterystycznym okrętem, zwieszającym się od pułapu.

Cechą charakterystyczną dla wszystkich ludzi jest pewna skłonność do lenistwa. Tym aforyzmem — zdaje się Buckle'a — tłumaczy się chyba fakt, że tylko nieliczni z pośród spędzających wakacje na Helu zwiedzają starożytny kościół ewangelicki. Choć trzeba z drugiej strony przyznać, że drzwi kościółka są często zamknięte i wydaje się każdemu (podpisany nie był tu wyjątkiem) przeszkodą nie do przezwyciężenia udać się kilka kroków od furty dalej, by uzyskać od nader uprzejmego księdza pastora pozwolenie na zwiedzenie zabytku.

Pierwsze wzmiaki o kościele helskim sięgają r. 1431. Z początku był on katolickim, od r. 1525 służy wyznaniu ewangelickiemu. Niewielki, w formie krzyża, o wieży nie tak dawno niefortunnie zmienionej, o murach zdobnych średniowiecznym układem cegieł, chowa w swem wnętrzu ciekawe dzieła sztuki. Jedno z nich to średniowieczny tryptyk z w. XV. Środek tryptyku zdobią rzeźbione figury świętych, skrzydła natomiast wypełniają malowidła z scenami z życia Chrystusa. Dzieło to, niezwykle piękne, wykazuje obok związków z sztuką północno-niemiecką również wpływy sztuki flamandzkiej. Innym zabytkiem z epoki średniowiecza jest w kościele helskim rzeźba, przedstawiają śmierć N. P. Marji. — Trzeciem wreszcie ciekawem dziełem sztuki, pochodzącem z wieku XVII, jest wielkie płótno ze szkoły Rembrandta „Chrystus przed Piłatem".



Jeden z najciekawszych zabytków helskiego kościoła: rzeźba średniowieczna, przedstawiająca śmierć N. P. Marji.



Na lewo: Skrzydło tryptyku pochodzącego z XV wieku w kościele helskim, przedstawiające scenę opłakiwania śmierci Chrystusa.



Poniżej: Kościół ewangelicki na Helu, widziany z statku.

Poza temi głównemi ozdobami nie brak wielu pomniejszych. Piękne świeczniki gdańskie i holenderskie z orłem dwugłowym, mosiężne „reflektory" gdańskie, bogato rzeźbione organy z w. XVIII, wdzięczny piecyk z kafelek holenderskich złożony, wreszcie liczne epitaphia. Wśród tych zabytków wiele łączy się ze sztuką flandryjską. Pośrednikiem tu był Gdańsk. Trzeba przyznać, że gdańscy burmistrze dbali o kościół na Helu. Burmistrz Reyger funduje organy, drugi Adrian van der Linde ofiaruje wspomniany obraz z szkoły Rembrandta.

Z stropu kościółka helskiego zwieszają się obok świeczników głównie holenderskich, różne wota. Jedno z ciekawszych to model starej fregaty rosyjskiej, przypominające chwilę, gdy w r. 1734 rosyjska flota odstąpiła od zbombardowania Helu tylko na usilne błagania zrozpaczonych jego mieszkańców. Mówiąc o kościele helskim trudno nie wspomnieć o małym zbiorku ksiąg kościelnych, sięgających XV-go wieku. Szczególnie ciekawemi są tu rubryki znaków rybackich, znaków podobnych do gmerków mieszczańskich. Taki znak rybacki widzimy też na najstarszym pomniku cmentarzyka helskiego, upamiętniającego nazwisko zmarłej w r. 1646 żony wójta helskiego, Dawida Jeske. O kościółku helskim istnieje mała ilustrowana monografja w języku niemieckim. Przydałaby się niewątpliwie również i w języku polskim.

ROMANTYZM W SŁUŻBIE NEPTUNA...

Morze nietylko otwiera drogę na szeroki świat, nietylko wabi swą pięknością i tajemnicą rozszalałego żywiołu, ale i karmi miljony ludzi. Ryba morska w przeróżnych odmianach, a zwłaszcza znany przez ludy całego niemal świata śledź, to najtańsze pożywienie dla sfer najuboższych.

Łowienie ryb w Polsce na wielką skalę, tam, gdzie rybołóstwo nie jest sportem, ale rzemiosłem, odbywa się na Wybrzeżu oraz na Kaszubach na potrzeby całego kraju.

Tryb życia i praca rybaków morskich różni się znacznie od zajęć rybaków jeziorowych. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że tylko dwa powiaty kaszubskie, tj. kościerski i kartuski, posiadają łącznie 389 jezior, to ocenimy dostatecznie, czem to rybołóstwo śródlądowe jest dla uroczej ziemi kaszubskiej. Obok rolnictwa, któremu poświęcają się Kaszubi w lecie, zimą są znakomitymi rybakami.

Inaczej przedstawia się życie rybaków morskich; ci ostatni nie trudnią się zawodem ubocznym, a ponieważ życie na morzu jest połączone z dużem niebezpieczeństwem i trudami, rybak jest tu wychowankiem żywiołu morskiego. To człowiek o żelaznej woli, reprezentujący siłę fizyczną i hart ducha. To wzór zdrowia, spokoju i opanowania.



Rybak z półwyspu Helskiego, naprawiający sieci.

Charakterystyczną cechą rybaka morskiego jest rozwaga i „angielska" flegma. Rzadko kiedy rybak się denerwuje. Dobroczynny wpływ morza przerabia zgruntu odziedziczone wady temperamentu i dostraja je do wymagań na tak zaawansowanym posterunku pracy. Można np. zaobserwować, że rybak mitręży cały dzień na falach, zmaga się z sztormem, zapuszcza sieć przez kilka godzin i w rezultacie wynik pracy jest znikomy. Szczęcie nie zawsze dopisuje. Ale rybak jest najzupełniej niezrażony niepowodzeniem i żaden mięsień jego twarzy nie zadrga niechęcią. Jeszcze bardziej opanowane są rybaczki. Te narówni z mężczyznami znoszą trudy swego zawodu i dzielnie spisują się przy boku swych mężów.

Oto jak charakteryzuje życie na morzu sędziwy rybak z Jastarni p. Wysocki. Zajęliśmy miejsce obok zamierających roślin mikołajki, tuż nad brzegiem morza, pod wieczór. Księżyc na horyzoncie tonął jedną połową w głębinie morskiej, rzucając poziomo na fale snop swych promieni. Morze falowało z szumem i hukiem. I było podobne do świeżo zoranego pola. Tylko „skiby" bałwanów razporaz zmieniały swe kształty, wylatując z hukiem na klifową mierzeję. Gdzieś w górze, w kulisty błysk latarni morskiej wpadło stadko dzikich kaczek morskich, żałosnem kwileniem dając znać o swej obecności.

Stary rybak długą chwilę milczał i patrzył nieruchomo w ciemną dal nocy. Wreszcie nasypał z rożka na pergaminową dłoń szczyptę tabaki i jął mówić. Poprzez świst wichru i wycie morza płynęła opowieść o dziwach morskich, o duchach — „stolemach", o karzełkach — „kraśniętach", o szerokiem i tajemnem rozlewisku wód morskich. Zawód rybacki to barwne i romantyczne współżycie ze światem rzeczywistym i nadzmysłowym. We wszystkich wydarzeniach rybak doszukuje się mocy sił nadprzyrodzonych, jakie kryją się w głębinach morskich, w przepastnej toni a nawet w bezpośrednim sąsiedztwie ludzi.



Motorowy kuter wyrusza na połów...



Checza kaszubska na Kępie Puckiej, pochodząca z XVI wieku.



Poniżej: Rybak — rys. J. M. Brzeski.

Według zapewnień staruszka, wiele osób zetknęło się z duchami zwanemi po kaszubsku „moerze". Rybacy personifikują je w postaci półkarłów i półtchórzów. „Moerze" należą do gatunku duchów złośliwych. Wciskają się one nocą do „checzy" rybackiej przez dziurkę od klucza i usiadłszy na piersi śpiącego, duszą niemiłosiernie... Zazwyczaj o północy, „moerze" na źdźble słomy cwałują po morzu i wyprawiają dzikie harce. Stary rybak zapewniał mnie solennie, że widział sam „ducha", ale było to już bardzo a bardzo dawno. Oto słowa rybaka w przeróbce literackiej.

— Kiedy miałem lat dwadzieścia, wypadło mi wybrać się na połów aż pod Bornholm. Wyjechałem z ojcem i bratem. Była późna jesień. Połów udał się nadspodziewanie. — W czasie drogi powrotnej, gdy ojciec i brat spali w kajucie, zerwał się silny sztorm. Zanosiło się na wielką burzę. Sądziłem, że dam sobie sam radę i nie budziłem ojca. Niebo zasnuło się czarnemi chmurami. Wisiały one tuż nad środkowym masztem. Deszcz lał jak z cebra. Zdawało się, że rozszalałe wody mo-



PORT RYBACKI NA HELU.

Fot. F. Nowicki, Kraków.



rza i obłoków tworzą jednolitą całość. Widziałem wodę wszędzie: w górze, w dole, przed sobą i za sobą. Woda zalewała kuter, wobec czego uruchomiłem pompę, by nie zatonąć. Zrobiło się zupełnie ciemno. Naraz, tuż za rufą na falach, zobaczyłem przepiękną „dzewus“ (dziewczynę). Tkwiła ona po pas w morzu, a fale podrzucały jej rozsypane złote włosy. Dziewczyna była piękna jak anioł. Patrzyłem na nią niby zaczarowany. Uśmiechała się do mnie czerwienią swych warg i wabiła do siebie najczulszemi słowami. Zapomniałem o sztormie i niebezpieczeństwie. Pozostawiłem kufer własnemu losowi i usiadłem na rufie. Dziewczyna nuciła jakąś nieziemską melodję. Zapomniałem o całym świecie.

Trwało to dość długo. Przeżywałem po raz pierwszy w życiu coś niesłychanie wzniosłego. Nagle tuż obok kutra ujrzałem słup ognia. Fontanna wody trysnęła w górę i rozległ się przeraźliwy grzmot pioruna. W tej samej chwili od steru krzyknął do mnie ojciec, a brat siłą ściągnął mnie z rufy. Zorjentowałem się, że kuter był pełen wody i każdej chwili mogliśmy zatonąć wraz z ładunkiem ryb...

Widziałem ją wtedy pierwszy i ostatni raz w życiu...

Staruszek zmarszczył czoło i umilkł. Gdzieś w dali zamigotały światła statku. Morze chichotało falami wspólnie z wiatrem na potępieńczą nutę... Nic dziwnego, że ludzie, którzy większą część życia spędzają na morzu, są przesądni i ulegają bujnej wyobraźni i licznym złudzeniom słuchowo-wzrokowym.

Czasami fala piętrzy się na podobieństwo jakiejś okropnej maczugi, lub przybiera kształty ludzkie i zwierzęce. Pobyt na rozszalałem dalekiem morzu na kutrze, który jest łupinką wobec ogromu żywiołu — bliższy jest raczej światowi duchów niż realnym pojęciom lądu... Każdej chwili grozi śmierć bezapelacyjnie. Rybacy nie znają sztuki pływania, która na tak olbrzymiej przestrzeni na nic się nie może przydać.

Kiedy powracaliśmy przez gęstwinę charszczu, poprzez wydmy, porośnięte żarnowcem, staruszek zaprosił mnie do swej checzy, aby przedstawić mi swego wnuka.

Barczysty to młodzian, o piersi wypukłej jak zbroja średniowiecznego rycerza. Mundur marynarki leży na nim jak ulany. Młody marynarz przybył do dziadka na urlop. Za kilka lat odziedziczy on sprzęt rybacki, a staruszek osiądzie na „starkowiźnie“. Tymczasem zwiedza on wszystkie porty świata, zażywa przygód na dalekich morzach, a podczas wypoczynku w domu zaleca się do urodziwej rybaczki w sąsiedztwie. Przypomniała mi opowieść starego rybaka. Z opisu była ona całkiem podobną do tej, która zrodziła się w bujnej fantazji starego rybaka.

— Nie wierzę w żadne duchy — oświadczył mi ze swadą młody potomek rybaka. — Wierzę jednak, że w morzu znajduje się zatopione stare miasto Hel. Głos zatopionych dzwonów helskich słyszało dużo ludzi, którzy widzieli również w okolicach Boru, na dnie morza, w pogodny dzień zamki, pałace i ogrody z kwiatów. Ja nie przekonałem się o tem na własne oczy. Jestem zresztą stale w podróży.

— Zapewne nie uskarża się pan na brak przygód — prowokowałem młodego wilka morskiego do zwierzeń. — Mówią niektórzy, że służba na statku jest szalenie nudna...

Spojrzał na mnie ze źle ukrywaną pogardą i zaśmiał się gromko:

— Kto tak mówi, ten nie widział nigdy morza! Jestem w domu drugi dzień, a już radbym wrócić do służby. Ot, nudzi mi się. Na morzu przeżywamy coraz to nowe przygody i jest nam wesoło.

— Jednak i niebezpieczeństwo coś znaczy — wtrąciłem chytrze.

— Do wszystkiego można się przyzwyczaić. To nawet dobrze robi: odpręża nerwy i wyładowuje zbyteczną energję. Pamiętam, jak kilka lat temu na Oceanie Atlantyckim zaskoczył nas huragan. Całą noc walczyliśmy z morzem ze złamanym sterem. Woda zalała dolny pokład i dobierała się do hali maszyn. Kapitan zdecydował się wysłać sygnały SOS i zarządził pogotowie szalup ratowniczych. Sytuacja stawała się beznadziejna. Zdawaliśmy sobie sprawę, że żadna szalupa nie utrzyma się na falach. Nadobitek pękła nam bombramreja, topryk i gafel. Niektórzy zaczęli się modlić. Statek stracił najważniejsze części i stał się „gibotny“. Dopiero nad ranem wyratował nas parowiec angielski. Noc ta była straszna i pamiętam ją, jakby to było wczoraj...

— Ale morze daje i morze bierze — zakończył opowiadanie dziarski marynarz, zaprawiony do służby już w polskiej marynarce.

Tadeusz Gierul (Gdynia).

Na lewo: Ściąganie sieci z wybrzeża (Hel).



Na prawo: Sprzęt rybacki — rys. J. M. Brzeski.



Zarzucanie sieci (Hel).



Przed wyruszeniem na połów łososi (Hel).

Poniżej: Kuter rybacki po wiosennym remoncie (Gdynia).





PRZYRODA NASZEGO MORZA I JEGO WYBRZEŻY

Na lewo: Mewa srebrzysta („Larus argentatus") — zjawia się niekiedy nad polskiem morzem.



Na prawo: Morszczyn pęcherzykowaty, brunatny glon Bałtyku.

Bałtyk jako morze zamknięte i słabo zasolone stwarza specjalne warunki dla życia roślin i zwierząt. W porównaniu do innych mórz, zwłaszcza ciepłych, cechuje Bałtyk duże ubóstwo organicznego życia. Niema tu świetnych w swych barwach podwodnych ogrodów korali ani „kwiatów" morskich — ukwiałów, brak olbrzymich mięczaków i skorupiaków, różnorodnych jeżowców i rozgwiazd. Charakterystycznem także dla Bałtyku jest występowanie gatunków skarlałych w porównaniu z krewnymi ich z innych mórz. Stosunkowo nieliczne tylko gatunki morskie mogą się utrzymać w wodach Bałtyku.

Doskonale czuje się w wodach polskiego morza jamochłon chełbia modra (Aurelia aurita). Piękny to widok, gdy ametystowe lub błękitnawe względnie różowe meduzy niby rozpłaszczone dzwonki o delikatnem, galaretowatem ciele unoszą się na morskich falach. Gdy chwycić takie stworzenia zda się, że czary jakieś nastąpiły, zanika bowiem pierwotny misterny kształt zwierzęcia, a w ręku pozostaje tylko bezkształtna grudka galarety.

Na powierzchni wody unoszą się mikroskopijne skorupiaki, tworzące składnik planktonu, który odgrywa ważną rolę jako pokarm dla ryb.

W wodach Bałtyku żyje królewska ryba łosoś (Salmo salar). Ciekawą jest ona przez swe wędrówki związane z rozmnażaniem się. W okresie składania ikry czyli tarła wędrują łososie z morza do wód słodkich, rwących i zimnych rzek oraz potoków górskich, przezwyciężając po drodze liczne przeszkody. Pojawia się także węgorz — ryba o wężowych kształtach. — Jest to właściwie ryba słodkowodna, która na tarło wędruje daleko aż na wody Atlantyku, aby tam złożyć ikrę, z której wylęgają się przeźroczyste, listkowate larwy, zupełnie niepodobne do swoich rodziców. Do naszego morza wracają po długim czasie jako t. zw. węgorki, maleńkie rybki o robakowatym kształcie, prawie przeźroczyste; dopiero w wodach słodkich dorastają do normalnej wielkości.

Częstą zdobyczą rybaków są spłaszczone flądry i mniejsze od nich, lecz liczniejsze flądërki. Są to ryby bardzo oryginalne. Budowa ich odznacza się bowiem asymetrją. Oczy znajdują się po jednej stronie ciała. Stale pływają na jednym tylko boku, jaśniejszym, ciemniejszym zaś zwrócone są ku górze, stając się w ten sposób niewidoczne. Cenne są także dla rybaków szproty lub wątłusze pomuchle, zwane też dorszami, których tłusta wątroba dostarcza delikatnego i cennego dla zdrowia tranu. Pojawiają się śledzie, sieje, makrele i wielkie płastugi skarpy-turboty. Przy brzegach zauważyć można pląsające w wodzie maleńkie rybki z rodzaju ciernika lub też rybki tobiaszowe zwane także dobiaszami, które posiadają zdolność zakopywania się w piasku a przez rybaków sa używane na przynętę dla połowu łososi i innych większych ryb.

Do podwodnych pali lub innych morskich przedmiotów przyczepia się niekiedy masowo omułek jadalny (Mytilus edulis), małża o ciemno-fioletowych skurupkach. W naszem morzu jest ona bardzo maleńka, dochodzi najwyżej wielkości trzech centymetrów i dlatego nie znajduje zastosowania jako pokarm. Wyrzucane na brzeg morski ładne różowe muszelki należą do rogowców, gładkie i duże — do piaskołazów, największych bałtyckich małży, karbowane zaś do sercówek.

Ze zwierząt ssących pojawiają się krewne wielorybów — morświny, które giętkie swe ciało wychylają z wody i igrają na falach. Rzadziej już pojawiają się ich krewni delfiny. Ukazują się niekiedy zwłaszcza w ostrzejsze zimy, niestety już coraz rza-

(Dokończenie na str. 31-ej).



W kole: Foki należą do coraz rzadszych gości wód bałtyckich.



Mikołajek nadmorski („Eryngium maritimum" — to piękna, ametystowo kwitnąca roślina nadmorska.



Chełbia modra — („Aurelia aurita") — oto jedna z najciekawszych meduz Bałtyku.



Wełnianka („Eriophorus") — jest charakterystyczną rośliną nadmorskich torfowisk.

Z WIATREM W ZAWODY...





Jacht, biorący udział w regatach, walczy z sztormową falą...
Fot. Dr. Gerwel — Gdynia.

...wo: Regaty ...edzie portu ...kiego (w głę... ...mienna Góra) ...Chmiel, Gdynia.
...rawo: Jacht ...lnym biegu.

...niżej: W poto...ach słońca i na ...spokojnej fali...

Morze... Słowo to wywiera magiczny wpływ na każdego Polaka i niema bodaj takiego. któryby nie marzył o niem i nie chciał go ujrzeć. Z najodleglejszych zakątków Polski ciągną coroku liczne szeregi tych sympatyków morza, aby je ujrzeć i podziwiać jego piękno. Ale poza temi tysiącznemi rzeszami jest jeszcze niezbyt liczna garstka ludzi, dla których morze jest całem życiem. Jego urok i czar wywiera na nich wpływ magiczny i pociągający — tymi nielicznymi są prawdziwi morscy żeglarze. Gdy mroźny wicher północny hula zimową porą nad Bałtykiem, a na morzu szaleje sztorm, czują się oni jakoś nieswojo i czegoś im brak. Ze smutkiem w oczach spojrzą niejednokrotnie na wysmukłe sylwety jachtów, spoczywające na lądzie pod drewnianemi daszkami i wyczekujące ciepłych podmuchów wiosennego wiatru.

Lecz niech tylko słońce mocniej przygrzeje i z morza powieje ciepły wiatr — każdy żeglarz odżywa i nabiera energji. Przeprowadza generalny remont swego jachtu i całego sprzętu, a piękny dzień dla niego następuje wtedy, gdy w jego klubie podniesiona zostanie bandera i jachty wyruszą na morze. Liczne wycieczki, dłuższe i krótsze, są na porządku dziennym, jednak najbardziej emocjonującemi i ciekawemi są dalekie rejsy i dalekomorskie regaty. Na długi czas przed niemi cała załoga doprowadza do idealnego porządku jacht, aby stanąć na starcie dobrze przygotowaną na daleką wyprawę. Wiedzą bowiem wszyscy, że gdy znajdą się na pełnem morzu, wszystko zależne jest od ich sprawności, jak również i od stanu jachtu. I gdy już wyruszą na pełne morze, kiedy cypel półwyspu helskiego pozostanie daleko w tyle za nimi — wówczas dopiero czują się w swoim żywiole. Załoga każdego jachtu wytęża swe wszystkie siły, aby zdobyć jaknajbardziej zaszczytne w ogólnej klasyfikacji miejsce, dlatego też wszyscy, a szczególnie kapitan przyzywają na pomoc całe swe doświadczenie, aby jaknajlepiej wykorzystać wiatr i przyjść pierwszym do celu.

Żeglowanie jachtem po pełnem morzu, to nie tak łatwa rzecz, jak się wydaje. To nie to samo, co jazda na wielkim statku parowym czy motorowym, który sunie po wodzie wytkniętym kursem, bez względu na stan pogody. Dla niego nic nie znaczy wiatr czy fale, bo ma on swe silne maszyny, które pchają go stale i równo naprzód. Jacht to co innego, to maleńka łupina z białemi skrzydłami żagli, rzucona na bezmiar wód morskich, zależna od wiatru, fali i t. d. Tu na niej nie wystarczy samo matematyczne obliczenie. Tu trzeba wyczuć na podstawie nabytego doświadczenia, jaki jest wiatr, jego siłę, znoszenie w bok (dryf) i całą masę innych drobniejszych rzeczy — od których wynik żeglowania jest zależny. Dobrze, gdy panuje piękna, słoneczna pogoda i przy sprzyjającym wietrze jacht rozpiąwszy wszystkie swe żagle sunie jak ptak lekko do celu. Bywają na morzu jednak i inne dnie — gdy przyjdzie sztormowy wiatr, a rozhuśtane morze rzuca łupiną jak wściekłe. Gdy na rzucanym przez fale jachcie trzeba zwijać żagle i stawiać inne „sztormowe", a nieraz z narażeniem życia umocnić osłabioną linę, czy też uwiązać urwany żagiel — wówczas dopiero załoga odczuwa nietylko czar i urok morza, ale zarazem jego grozę i potęgę.

Sztorm nie trwa jednak wiecznie, zwykle po nim następuje słoneczna pogoda, wiatr słabnie i morze wygładza powoli swe zmarszczki. Śmiertelnie wyczerpana długą walką z żywiołem załoga ma możność odpoczynku i wytchnienia. Suszy się wówczas na słońcu zmoczone przez fale ubrania, prowianty, naprawia uszkodzenia i chłonie w pełni rozkosz, jaką daje żeglowanie w słońcu po srebrzystej powierzchni zlekka pofalowanego morza. Mija szybko nastrój grozy i humory się poprawiają. A gdy jacht pierwszy przyjedzie do celu, wówczas wszyscy mogą być ze siebie i swej łupiny dumni. Na regatach





wolno posuwać się tylko przy pomocy żagli. Motory zostają przedtem przez komisję zaplombowane, regaty bowiem mają być egzaminem sprawności załogi i kapitana.

Nad naszem morzem królewski sport żeglarski rozwija się wspaniale ze wzrastającą corocznie siłą. Całe masy młodzieży garną się do obozów żeglarskich i na kursy urządzane przez L. M. i K. oraz Zw. Harcerstwa Polskiego, jak również i przez kluby prywatne. W żeglarstwie dalekomorskiem przoduje Jachtklub Polski skupiający w szeregach swych członków śmietankę towarzyską Gdyni.

W posiadaniu Klubu lub jego członków jest 11 jachtów (przeważnie pełnomorskich). Jachtklub corocznie urządza też regaty i wycieczki zagraniczne z wizytami do innych klubów. — Honorowym Komandorem Klubu jest Pan Prezydent Rzeczypospolitej od lat kilkunastu.

Świetnie również rozwija się Oficerski Jachtklub, jak również Gryf, żeglarstwo harcerskie i P. W.

Gdynia w zeszłym roku otrzymała wspaniały basen żeglarski, gdzie każdemu z klubów zostanie wydzielony kawałek nadbrzeża, na którem będzie mógł wystawić swe pawilony klubowe.

Mówiąc o żeglarstwie trudnoj jest nie wspomnieć o dwóch polskich klubach żeglarskich w Gdańsku, t. j. Akademickim Związku Morskim i Polskim Klubie Morskim, w którego posiadaniu są najpiękniejsze jachty dalekobieżne „Korsarz" i „Pirat" oraz wspaniały jacht wyścigowy „Danuta". — Ideę szerzenia sportów wodnych wśród szerokich rzesz wzięły na swe barki Liga Morska i Kolonjalna oraz Związek Harcerstwa Polskiego. Posiada on piękny trzymasztowy szkuner „Zawisza Czarny", na którym corocznie zastęp młodych chłopców zamienia się pod wytrawną ręką starego wilka morskiego gen. Marjusza Zaruskiego w doświadczonych żeglarzy. Obecnie jak słychać L. M. i K. zamierza oddać „ELEMKE" na cele kształcenia w sporcie żeglarskim licznych rzesz młodzieży.

Sport żeglarski rozwija się wspaniale, zdobywając sobie, szczególnie wśród młodszej generacji, liczne szeregi wielbicieli.





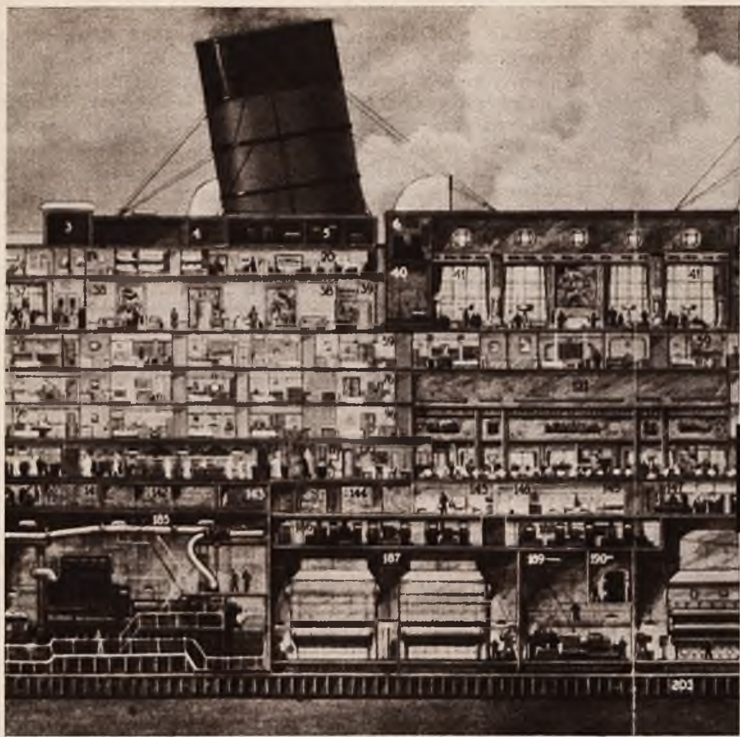
Na lewo: Po burzy suszy się wszystko w promieniach słońca... Fot. Dr. Gerwel — Gdynia.

Poniżej od lewej: Sztorm na morzu: załoga jachtu w nieprzemakalnych płaszczach i kapturach. — Regaty w Gdyni: Obserwatorska łódź żaglowa na morzu
Fot. Dr. Gerwel — Gdynia.





ARCHITEKTURA transatlantyków



Przekrój wnętrza statku R. M. S. „Queen Mary". W środku sala reprezentacyjna, poniżej z boku kajuty I klasy.

Starą jest sztuka budowania okrętów, gdyż wywodzi się sprzed 5000 lat przed Chr., kiedyto chaldejskie narody starożytne wypłynęły na morze. Pierwszy „pływający pałac" wybudowano z cedrowego drzewa dla użytku króla Ramzesa II, powstał w 1398 r. przed Chr. „Pałac" ten poruszał się na morzu przy pomocy wioseł, dzierżonych w muskularnych dłoniach 120 wioślarzy-niewolników. Grecy i Rzymianie rozwijali w ciągu następnych wieków przekazaną im przez Fenicjan sztukę budowania statków, o rufach zdobnych w rzeźby. W wiekach średnich powstają i giną wielkie armady, budowane przez walczące królestwa Anglji, Hiszpanji i Francji. Zwrotnym momentem w dziejach budowy statków było użycie maszyny parowej, oraz zastosowanie walcowanego żelaza w r. 1787 do konstrukcji okrętów. W XIX wieku rozpoczyna się wyścig stoczni angielskich, niemieckich i amerykańskich w rozbudowie floty handlowej i wojennej. Sztuka inżynierów-konstruktorów udoskonala się. Na morze coraz częściej wypływają okręty-giganty przewożące ze starego lądu do Nowej Ziemi tysiące emigrantów. Wielkie mocarstwa morskie wyzyskały należycie ówczesną konjunkturę handlową, gorączkowo bogacąc tonaż swych statków.

Największą przeszkodą w kształtowaniu wewnętrznej konstrukcji okrętów była sama maszyna parowa. Im większy statek tem większa hala maszynowa, tem większe składy węgla, tem kosztowniejsza obsługa. W konstrukcji statków panowała tendencja luksusowego uposażenia części pokładowej, w której mieściły się kajuty pasażerów I klasy, sale restauracyjne, palarnie i czytelnie. Natomiast całe wnętrze statku, przeznaczone dla emigrantów składało się z ciasnych komórek, do których powietrze nie miało dostępu Kontrasty życia miejskiego, — bogactwa i nędzy przeniesiono na statek. W architekturze panowała mieszanina imitacji stylów, podobnie ciężka i bezładna, co na lądzie. Kompanje okrętowe prześcigały się w luksusowem uposażeniu wnętrza, w obijaniu ścian kosztowną, drzewną boazerją i ciężkiemi tkaninami. Przenoszono ogrody zimowe na pokład, t. zw. „pałaców pływających", które posiadały charakter bezsensownej mieszaniny pseudo stylowej i ornamentalnego przeładowania Dopiero liczne pożary, wybuchające na statkach i niweczące je na morzu w ciągu kilku godzin, zmusiły konstruktorów okrętów do rewizji. Doświadczenia wykazały, iż najczęstszym powodem pożarów były krótkie spięcia przewodów elektrycznych, prowadzonych po łatwo palnem materjale drzewnych boazeryj, któremi obito wnętrza wszystkich sal i kajut luksusowych. I dopiero mniejwięcej od lat 10-ciu poczęto stosować do urządzeń wnętrz okrętowych jedynie materjał ogniotrwały, jak metale, blachy stalowe, aluminjum, płyty szklane, ebonit i t. p.

Zastosowanie motorów Diesla wprowadziło rewolucję w budowie dotychczasowej konstrukcji statków. Wskutek małej objętości motorów i zmniejszonej ilości paliwa (ropa zamiast węgla), uzyskano większą kubaturę dla rozbudowy wnętrza. Nowoczesne wynalazki w zakresie wentylacji umożliwiły urządzanie wygodnych i przewiewnych turystycznych kajut i sal, nawet w głębi kadłuba statku. Architekt odzyskał swobodę w planowaniu wnętrza, a odrzuciwszy wszelką dawną przypadkowość i przeładowanie ornamentacyjne, projektował rozbudowę wnętrza statku na logicznych zasadach funkcjonalności. A więc forma architektoniczna odpowiada swemu przeznaczeniu, żaden szczegół architektoniczny nie zaciera okrętowego charakteru, a harmonja barw wnętrza łączy się z jego ukształtowaniem i linją. Dążeniem nowoczesnego okrętowego architekty



Fragment sali koncertowo-balowej na statku „Queen Mary".



Na lewo: Plafon w jednym z salonów na M. S. „Piłsudski" proj. W. Borowskiego.



Nawet przybory do jedzenia są wykonane na polskich statkach według projektu artysty.

Na prawo: Wnętrze kabiny luksusowej na „Queen Mary".



jest stworzenie wnętrza, wprowadzającego turystę w miły nastrój.

Pomysłowość architekty idzie przedewszystkiem w kierunku, uposażenia statku w jaknajobszerniejsze niezabudowane, szerokie przestrzenie pokładowe, na których pomieścić można korty tenisowe, sportowe boiska, zaś we wnętrzu obszerne pływalnie, jasne salony rozrywek, bary, jadalnie, pokoje dla dzieci, kaplice, sale teatralne i kinematograficzne. Dumą każdego nowoczesnego statku jest rozmiar i ilość pływalni i sal gimnastycznych. Światło, ruch, higjena i sport umilają życie pasażera transatlantyckiego okrętu.

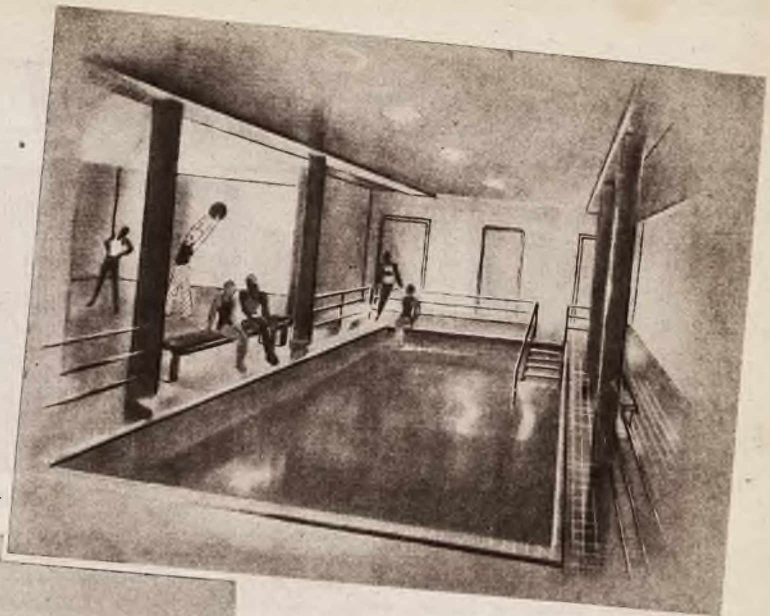
Sztuki plastyczne, jak malarstwo, rzeźba harmonizują ściśle z artystyczną wolą architekty. One są czynnikiem emocjonalnym, przemawiając swoistym językiem barw i form danego kraju do intelektu różnojęzycznych pasażerów. Nowoczesny statek, będący częścią terytorjum państwa, jest jakby ruchomą wystawą cywilizacji i kultury artystycznej danego kraju.

W ostatnich latach największe państwa morskie rywalizują w budowie gigantów morskich. Są to olbrzymie wysiłki w celu ożywienia ekonomicznego swego kraju, gdyż naprzykład przy budowie statku „Queen Mary“ zajęto setki tysięcy robotników bądź bezpośrednio, bądź w różnorodnych fabrykach, wykonujących zamówienia budowy okrętu. Współczesne olbrzymy oceaniczne o tonażu sięgającym 80 tysięcy tonn, to już nie pływające pałace, lecz pływające miasta, w których mądrze zorganizowano wszystkie współczyniki, bezpieczeństwa, wygody i higjeny. Pasażer na współczesnym staku transatlantyckim nie traci ani przez chwilę związku z swym domem na lądzie. Może prowadzić potrzebne czynności handlowe, mając stałą łączność telefoniczną zarówno z Europą jak i z Ameryką. Otrzymuje ostatnie wiadomości, bądźto zapomocą radja, bądź gazety okrętowej. Na statku dokonywać może również zakupów w licznych sklepach i załatwiać czynności giełdowe i bankowe.

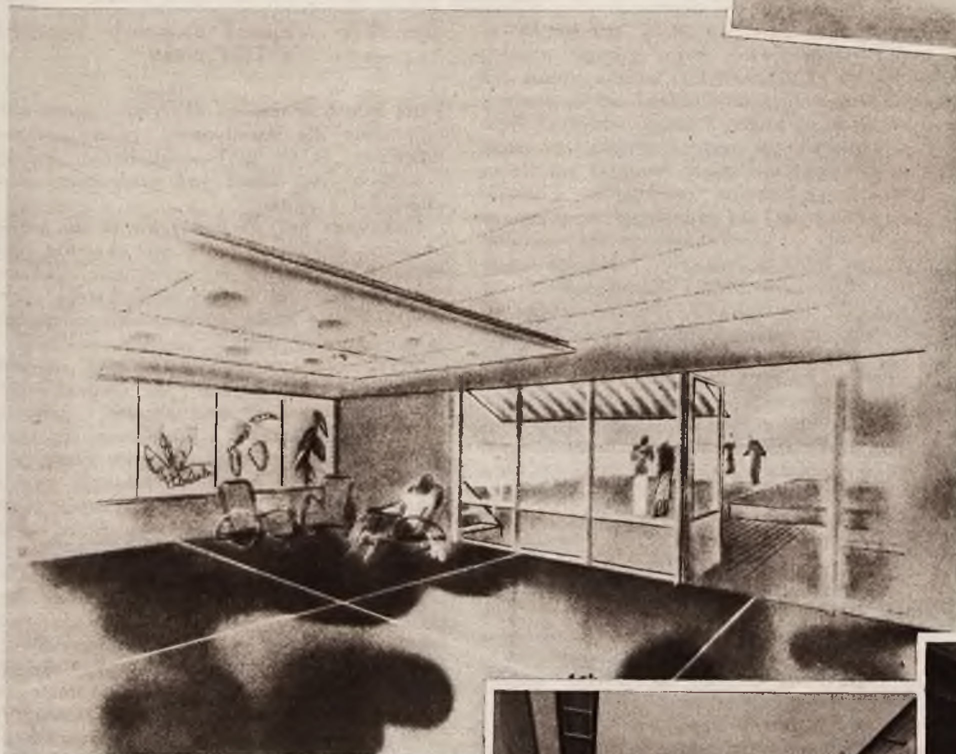
Polska, która wkracza buńczucznie na oceany, posiadła w ostatnich dwóch latach dwa statki siostrzane M/S „Piłsudski“ i M/ „Batory“. Okręty te zbudowane na zleceanie Spółki akcyjnej „Gdynia — Ameryka Linje żeglugowe“ są ostatnim wyrazem doskonałości technicznej i dumą konstruktorów. Pierwotną ideę oraz zasadniczy szkic statku wykonał inżynier Polak. Budową i wykończeniem planów zajęły się zjednoczone stocznie adrjatyckie“ w Monfalcone pod kierunkiem prof. arch. Giovenni Zoncala. Armatorom polskim zależało, aby w jaknajszerszych granicach w budowie i ozdobieniu okrętu zaznaczył się twórczy genjusz polski. W tym celu komisja nadzorcza wyłoniła Podkomisję artystyczną, złożoną z prof. Tadeusza Pruszkowskiego, prof. Wojciecha Jastrzębskiego, prof. dra inż. Lesława Brukalskiego. Architekturę wewnętrzną wykonała pracownia architektoniczna pod kierunkiem Stanisława Brukalskiego i Lecha Niemojewskiego. Tkaniny i przedmioty artystyczne wykonała firma „Ład“ w Warszawie, pod kierow. prof. Jastrzębskiego, rzeźby — prof. Wojciech Breyer, Alfons Karny, Antoni Kenar, Stanisław Ostrowski i inni. W dziale malarskim figurują m. in. nazwiska Wacława Borowskiego, Juljana Fałata, Zofji Stryjeńskiej i Wacława Żaboklickiego. Graficy polscy wystąpili niemal w komplecie. Wnętrza kabin okrętowych ozdobiono najcenniejszemi okazami naszej grafiki.

Uposażenie artystyczne jest dowodem wielkiej dojrzałości współczesnych artystów polskich, mogących sprostać najbardziej rafinowanym wymaganiom artystycznym.

M. Dienstl-Dąbrowa.



Pływalnia i sala gimnastyczna na M. S. „Piłsudski“.



Na prawo: Oszklona weranda na pokładzie łodziowym M. S. „Piłsudski“.



Czytelnia na statku „Queen Mary“.

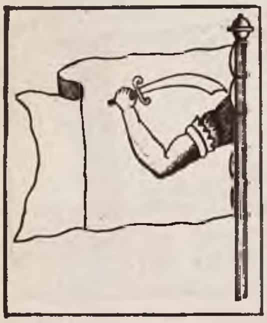


Salon dla pań na „Queen Mary“.

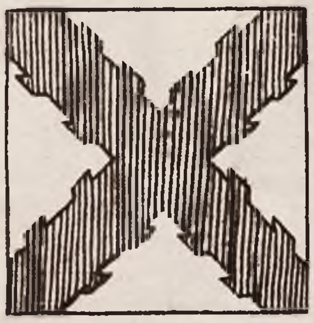


Na prawo: Korty tenisowe wraz z pergolą na górnym pokładzie angielskiego statku turystycznego „Georgic“.

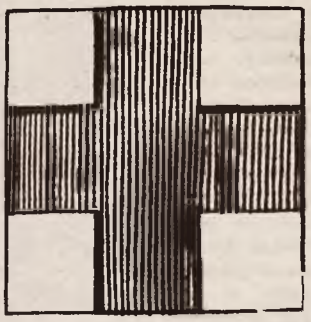
SYMBOLE MORZA



Bandera polska.



Bandera hiszpańska.



Bandera angielska.



Bandera Zakonu św. Jana.



Bandera turecka.

Wszystkie powyższe bandery pochodzą z XVII wieku.

Podobnie jak krew ożywia ciało ludzkie, tak na srebrnych, lśniących falach morskich płynie w historji świata energja i inicjatywa, tworząc nowe ośrodki życia. Mimo trudności, jakie morze przeciwstawia człowiekowi chcącemu posługiwać się niem jako drogą komunikacyjną, jest ono daleko wygodniejszym a nadewszystko bardziej uniwersalnym środkiem poznania nowych, nieznanych krajów, niż Matka Ziemia. Już grecka mitologja opowiada nam o dalekich podróżach morskich, które jakkolwiek są tworem fantazji, to jednak ilustrują dążność człowieka do wyjścia z kręgu swego codziennego życia w poszukiwaniu wielkich, wstrząsających odkryć i przygód. Ale nietylko fantazja ludzka zaświadcza o wielkiej roli morza: znajdziemy ją na kartkach historji pewnej i niezbitej. Zwłaszcza wczesne średniowiecze pełne jest wypraw morskich normandzkich łodzi, które wdrążają się w głąb lądów idąc rzekami ku niewiadomemu jeszcze celowi. Mężowie przybyli z dalekich normandzkich krain stają się pierwszymi historycznemi postaciami Rusi, która odtąd staje się ich własnością. Ruryk z swymi synami to postacie współczesne Karolowi Wielkiemu, a po wiek XVI, potomkowie jego będą decydować o losach tego kraju. Również Normandja francuska, której nazwa sama wskazuje na jej twórców i organizatorów, staje się domeną tego najbardziej ruchliwego ludu średniowiecza jakim są Normanowie. To samo dzieje się w południowych Włoszech, gdzie oni również zakładają swoje królestwo, wyciskając na niem piętno swego charakteru. Jeżeli w większości wypadków łupieżcze, ale równocześnie konstruktywne wyprawy Normanów są pewnikiem historycznym, a nawet Paryż, głęboko w lądzie francuskim położony, narażony jest na najazdy łodzi przybywających z północy, to stosunek elementu normandzkiego do Polski i jej brzegów nadbałtyckich do dziś znajduje różną i sprzeczną wykładnię uczonych. Że Normanowie nachodzili nasze brzegi, że zapuszczali się wgłąb kraju i że, sądząc po analogjach w innych krajach, musieli pozostawić jakiś ślad twórczej działalności, zdaje się nie ulegać wątpliwości .Natomiast szczegóły natrafiają na różne przyjęcie u historyków. Sprawa wpływu Normanów na nasze dzieje stała się bardziej aktualną w ostatnich latach XIX wieku gdy znany uczony Prof. Franciszek Piekosiński wydał swoją pracę o pochodzeniu polskiej szlachty. Dopatrując się w polskich godłach herbowych przeistoczonych nieraz znaków runicznych, postawił on teorję o pochodzeniu polskiej szlachty wraz z dynastją Piastów i Popielidów właśnie od rodów normandzkich. W kronikach spotykamy się z pierwszemi danemi o naszych książętach dzielnicowych. Wspominają tam o królach Lutyków — Dragowicie, jego wnuku Żelidragu, o królach Oborytów — Wilczanie i Dragu, a dalej o Dragonie i Cedragu. To powstarzanie się słowa „drag" nie jest bynajmniej przypadkowe: słowo „drag" oznacza w języku skandynawskim smoka. Smok lub gryf, oto jedno z najulubieńszych fantastycznych zwierząt naszej i obcej heraldyki, figurujące nietylko w herbach rodzin, ale nadewszystko krajów i miast. Badając też stronę heraldyczną naszych pradziejów, i snując „per analogiam" jej prawdopodobną genezę, dochodzimy do przekonania, że zarówno najdawniejsi książęta pomorscy, ruscy jak i obotryccy należeli do jednej skandynawskiej dynastji. Z Skandynawji wyprowadzają też historycy dynastje Popielidów i Piastów, tych ostatnich niektórzy z wyspy Rugji. I oto z imieniem naszych dawnych książąt pomorskich i obotryckich — Dragiem, łączy się najdawniejszy na naszych ziemiach symbol morski — gryf! Jest on przecież herbem typowego nadmorskiego kraju — Pomorza, jest też herbem Starogardu i wielu inych miast i ziem jak Meklemburgji, kraju Wendów itd.

Rozwiązanie znaczenia tego oryginalnego symbolu należy bardziej do psychologa jak do historyka. Gryf jest zwierzęciem, które nieraz występuje w skandynawskich sagach, choćby tylko przypomnieć walkę Fafnera z smokiem. Zresztą niepotrzeba Skandynawji, aby znaleźć to mityczne stworzenie, odgrywające wielką rolę w pradziejach ludzkości. Przecież założyciel Krakowa, Krak, walczy ze smokiem podwawelskim, staje się zbawcą ojczyzny. Otóż w mniemaniu Normanów smok jest symbolem potęgi temwięcej, że podania głoszą, iż zwierzę to przebywa również w morzu i, — gdyby nie odległość dziesięciu wieków — przypomina żywcem potwora z Loch Ness! Nic dziwnego więc, że dzielni rycerze skandynawscy, idący na podbój świata, przybierają imię tego właśnie potwora, a co więcej umieszczają go na swoich tarczach. — Analogji pewnej dopatrywać się można w nazwisku i herbie włoskiej rodziny książąt Del Drago, która może również swój symbol i nazwisko zapożyczała od Normanów. Ale spotykamy się i z innym symbolem morskim, wywodzącym się z dalekiej północy. Oto w polskiem średniowieczu zjawia się duński możnowładca Piort Włast, hrabia na Skrzynnie, który nosi najbardziej dla Skandynawji typowe godło — łabędzia. O ile gryf symbolizuje potęgę i moc, o tyle łabędź jest synonimem szlachetności i cnoty.

Poniżej: Piękną w kształtach łódź Wikingów z IX wieku przechowuje muzeum uniwersyteckie w Oslo.



Ciekawem jest, że każdy naród ma swoje ulubione dekoracje łodzi czy okrętów. Na łodziach weneckich — gondolach, widzimy ciekawy dziób w postaci strzępiastego ornamentu, łodzie znów normandzkie odznaczają się również długim, cienkim dziobem.

Oczywiście, że panowanie nad morzem przechodzi z rąk do rąk i tak pierwsi żeglarze dalekich mórz, Normanowie, ustępują swej roli Włochom, a zwłaszcza republice weneckiej i genueńskiej. Wkrótce liczne placówki morskie i handlowe faktorje wywieszają sztandar z charakterystycznym lwem św. Marka ewangielisty, który przez kilka wieków zasługuje na miano właściwego władcy morza Śródziemnego. Republiki włoskie dzielą swe panowanie nad morzem również z Zakonem Maltańskim, posiadającym tak ważne punkty oparcia jak wyspy Maltę, Rodos, Cypr itd. Gdy obie te potęgi słabną, panowanie nad morzem uzyskują Portugalczycy i Hiszpanie, a następnie Holendrzy i Anglicy. I znów nowe bandery powiewają na okrętach, sunących na falach. A więc widzimy charakterystycznych pięć małych tarczy portugalskich, hiszpański krzyż św. Andrzeja, lub też czerwony krzyż w srebrnem polu Anglików. Jeżeli chodzi o Polskę, to walka o nadmorskie krainy t. j. przedewszystkiem Pomorze przypada na czasy, kiedy flota wojenna czy handlowa grała minimalną rolę i nie była uważana za warunek potęgi państwa. Później zaś Polska zajęta walką terytorjalną z Zakonem Krzyżackim, a następnie z Moskwą, Turkami i Tatarami nie mogła poświęcić morzu tej uwagi, na jakąby zasługiwała. Nawet utrzymanie Inflant i Kurlandji nie należało od czasu XVI wieku do pierwszorzędnych zadań, chyba jedynie z względu na antagonizm o te prowincje z Moskwą. Ale jednak mieliśmy organizatora floty w osobie Władysława IV, króla o wielkich ambicjach osobistych i daleko idących planach. Wtedy to srebrna zbrojna ręka z mieczem w czerwonem polu unosiła się nad morzem.

Nowy rozdział naszego współżycia z morzem rozpoczął się zmartwychwstaniem Polski. Stworzenie floty wojennej i handlowej, zbudowanie wspaniałego portu gdyńskiego, wyruszenie w świat „Batorego" — oto kilka ważnych etapów naszej współpracy z morzami. Gdynia ogłosiła w bieżącym roku konkurs na swój herb — stanie się on niezawodnie jednym z morskich symboli, reprezentujący godnie Polskę zawierającą z morzem coraz ściślejsze przymierze.

Jan Maleszewski.



Ten wzrok i ten uśmiech i ta mina,
pewność siebie, która zdarzeń pragnie —
w każdym porcie nowy życia fragment,
w każdym porcie inna dziewczyna —
to marynarz...

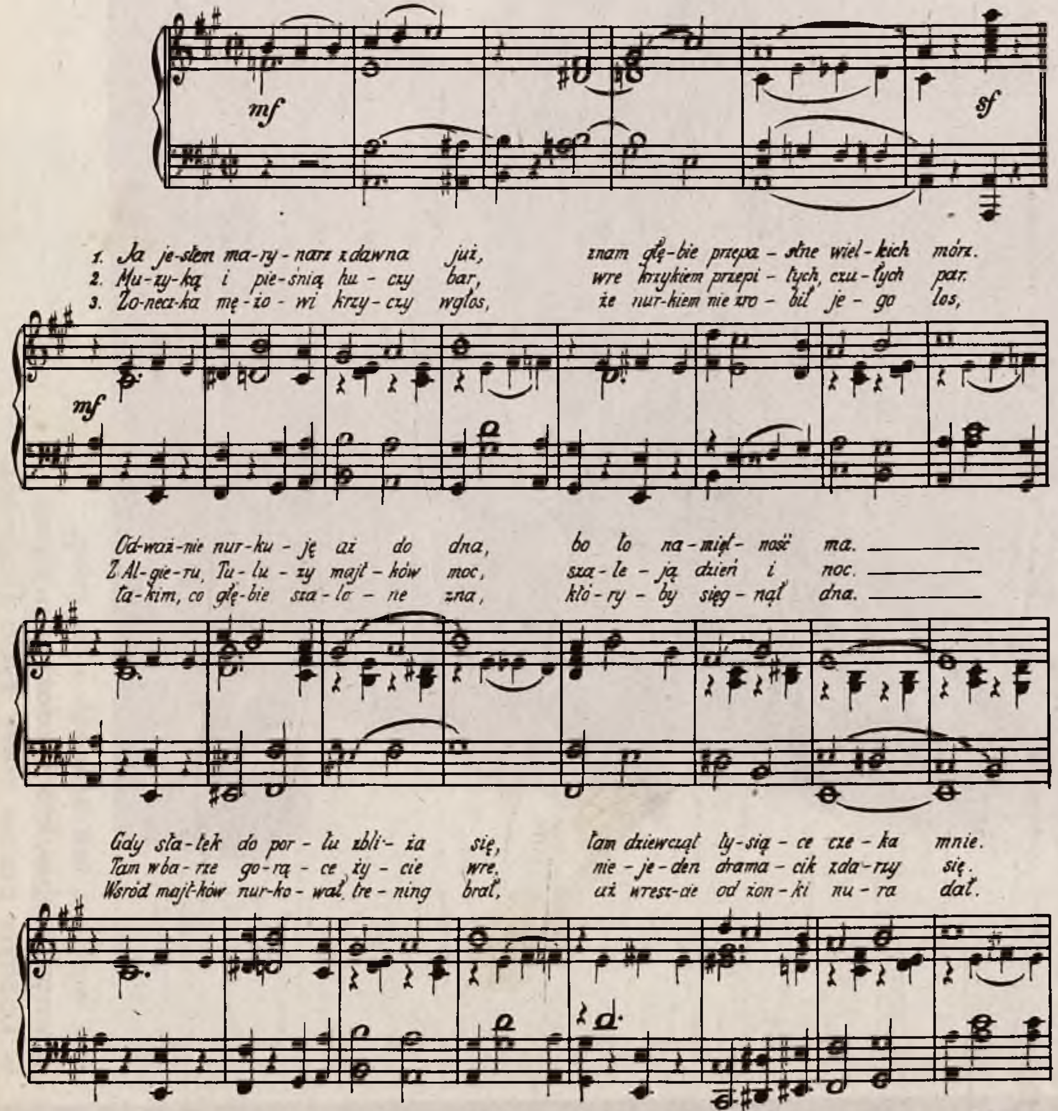
NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

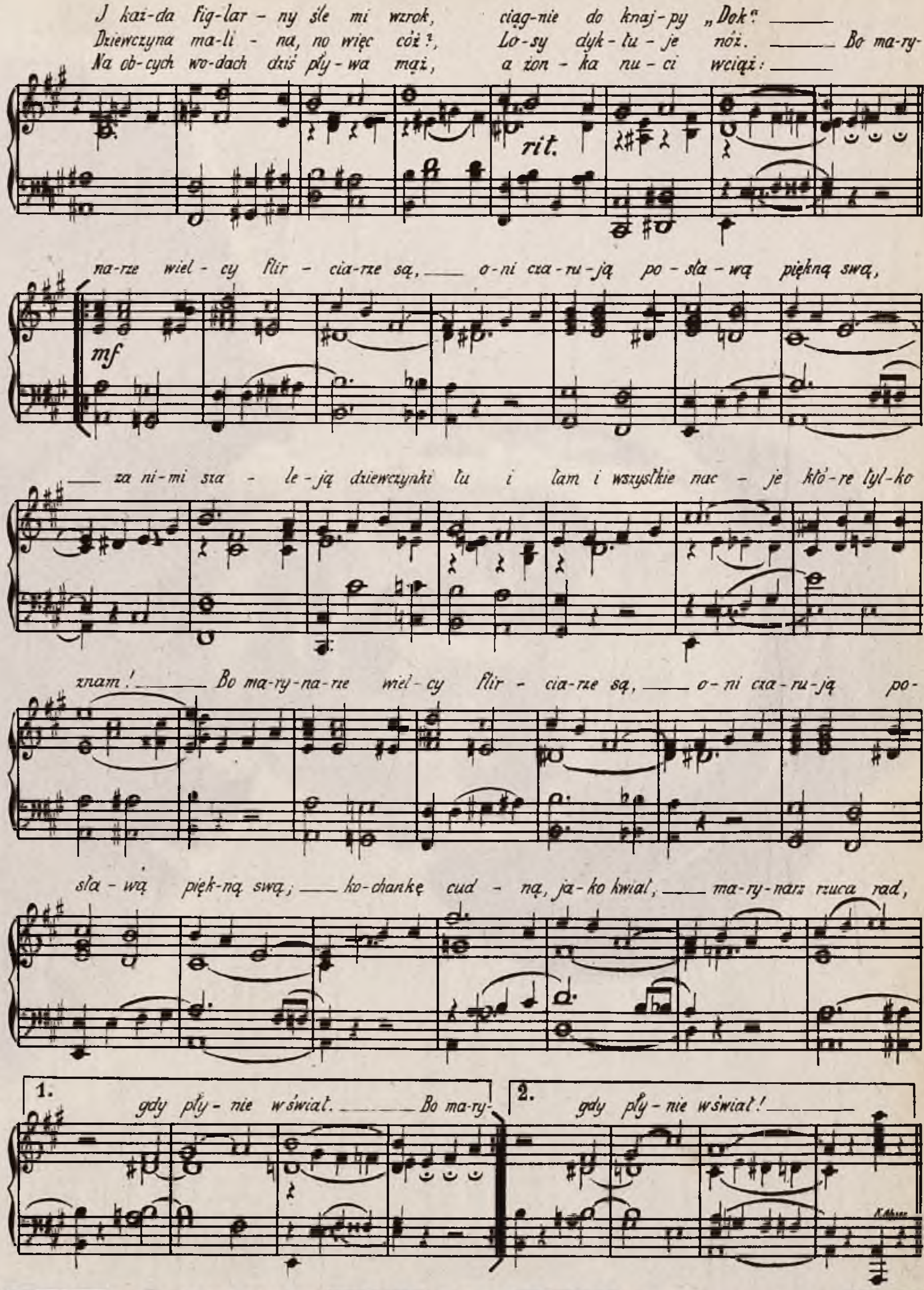
ACH, CI MARYNARZE!

MARSZ-FOXTROT

Słowa:
LUDWIKA JANICKIEGO

Muzyka:
STANISŁAWA WITCZYKA







KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 5.

Napisał H. WILDE POWIEŚĆ Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

I przeskoczył przez ohydną kałużę pełną odpadków, którą tworzył w tem miejscu ściek uliczny, widocznie zatkany.

— Co za paskustwo! — I ty myślisz serjo zamurować się tutaj?! — Rancé — zmykaj stąd!

Po chwili zakonkludował:

— Wszystko to zresztą niema większego znaczenia... Dam sobie radę inaczej i zajdę wysoko. Zobaczysz!

Ta pełna pychy zarozumiałość byłaby mnie drażniła u każdego innego: u niego jednak wydawała mi się słuszną i usprawiedliwioną.

— Znam cię — dlatego nie tracę nadziei. — Chociaż, służąc jako zastępca kapitana na tej starej krypie, nie przewiduję, że ci się to prędko uda...

— Chwilowo tylko jestem zastępcą kapitana na Fai-Tsi-Longu. To jest takie przelotne zaćmienie w karjerze Wilhelma Harcourt. — Wiesz, Rancé — mówił gorąco, ściskając mnie za ramię — to właśnie jest zajmującem w życiu; raz na górze — raz na dole! Na dole, tylko po to, by wznieść się jeszcze wyżej potem! Rozumiesz: takie życie, którego wykres wyglądałby jak najeżony szczytami profil łańcucha poszarpanych gór! Pełne niespodzianek — i niebezpieczeństw nawet, kiedy mi się zachce! Niema czasu nudzić się w takiem życiu!

— Tak — rzekłem. — Tak wyobrażam sobie jednego z tych kondotierów, których dzieje kazałeś mi czytać. Jednego z tych korsarzy z czasów Jana Barta — albo któregoś z twoich dzikich pirackich przodków, Wikingów.

— Taki „Władca Morza", żeglujący na zdobytym galjonie! — To było piękne życie! — Rancé, pamiętasz ty ten wiersz Henryka Heinego, o tym królu Wikingów, którego złowiła w morskie odmęty biała pani morza i trzyma go w sidłach miłości?

I zaczął deklamować:

Czasami zda mu się, słyszy
W głuchym łoskocie bijących fal
Wśród wycia wichru, piorunków huku
Dawnych Normanów bitewny krzyk.
Czasami słyszy rybaków,
W odmęt gdy lekką rzucają sieć
Jak sławią pieśnią zwycięskie boje
Króla Haralda, władyki mórz.
Zbudzony Król jęczy, szlocha
Stargać chce czarów miłosnych więź
A wtedy k'niemu mórz Biała Pani
Chyli pieszczotę rozśmianych warg.

— Tak durniu! — krzyknął nieoczekiwanie pod adresem wędrownego restauratora, który wpatrywał się weń ogłupiałemi oczyma, sponad tacy, na której roznosił chińskie smakołyki. — Żebyś wiedział: tak, a nie inaczej! Życie — to dać się nieść rozhukanej fali wśród burz — lądować z garstką zatraceńców na nieznanym brzegu — trwogę i popłoch rzucić na mieszkańców pobrzeża! Ukorzyć ich przed swą wolą — przed wściekłą żądzą władzy, panowania! — Ty tego nie masz we krwi — nie możesz zrozumieć. W literaturze chińskiej niema starych morskich Sag.

— Harcourt — odezwałem się — mówiłeś o królu Haraldzie Harfagarze... Uważaj! I ciebie gotowa kiedyś zakląć miłosnym czarem Biała Pani Morza...

— Nie spotkałem jej dotąd. — Myślisz naprawdę, że zdołałaby mnie usidlić taka zimna pani? — A zresztą, może i masz rację... Dobrze określiłeś: wczoraj byłem porucznikiem, w marynarce wojennej i kawalerem Legji Honorowej (dostał był w roku 1917 czerwoną butonierę za waleczność na froncie) — dziś zastępuję kapitana na tej starej krypie — dowodzę załogą, złożoną z samych mętów Kantonu i okolicy... Słuchajno — prawda, że Cezara Borgię zabito pod zbroją prostego żołdaka? — A ten pierwszy Cezar, czyż nie powiedział: „Aut Caesar, aut nihil!"

Harcourt lubiał często powtarzać tę dumną dewizę.

— Pojedziesz zemną na okręt, dziś popołudniu. Poznasz kapitana. Anglik. Musisz koniecznie zobaczyć to dziwo — warto! Ponure bydlę — a ja jestem jego pogromcą. Bardzo źle żyjemy ze sobą. To jeszcze coś, co dodaje pieprza mojej egzystencji — taki niebezpieczny sport...

— Twoja beztroska zatyka mnie poprostu — rzekłem. Więc nie myślisz już wcale o stanowisku, które utraciłeś?

Ja na jego miejscu, zdawało mi się, byłbym przetrawiał ciągle gorzki żal w sercu.

— Trzeba się umieć zdobyć na pogardę! — rzekł wtedy z dumą. — Pamiętaj, że ludzie o wielkiem sercu, nie zniżali się nigdy do opłakiwania utraconych dóbr doczesnych.

I zaraz dodał:

— Muszę ci się z czemś zwierzć...

Szliśmy właśnie wąską, cuchnącą uliczką, między dwoma rzędami sklepików. Do dzisiaj zachowałem w pamięci wizję tej uliczki, tak niesłychanie zdumiało mnie to, co mi powiedział wtedy:

— Ten handel, który uprawiam wzdłuż chińskich wybrzeży, pozwala mi być w ciągłym kontakcie z dosyć ciekawymi osobnikami. Są to ludzie z południowo-chińskiego świata rewolucyjnego. Są między nimi draby — często nawet zbrodniarze — oczywiście! Z tymi nie stykam się. Ale są także ludzie bardzo zajmujący, rozumni, umiarkowani, którzy czekają, kiedy ich godzina wybije. Ci właśnie będą mieli górę w Chinach, kiedy ta godzina przyjdzie... Jestem w styczności z ludźmi, którzy myślą o zorganizowaniu Nowych Chin. Poczyniono mi już pewne propozycje... Niedługo przejdę do ich służby. Mogę w tem wszystkiem odegrać rolę, podobną do tej, jaką odegrało kilku Europejczyków w Turcji, w ciągu ostatniego stulecia.

Zwolniłem kroku — i przypatrzyłem mu się w prawdziwem osłupieniu.

— Przecież nie myślisz zapchać się w to bolszewickie środowisko!

— Ależ nie, stary! — zaśmiał się. — Mam zamiar współdziałać z umiar-

kowaną partją Kuo-ming-tangu — z prawdziwymi republikanami chińskimi, organizatorami nowego porządku i nie będę jedynym Europejczykiem między nimi...

— Osie gniazdo! — zawołałem. — Wiesz dobrze, że to jest prawdziwe osie gniazdo! Wiesz także, że w Chinach obecnie, partje rozpadają się i tworzą na nowo — łączą się po to, żeby potem zdradzać się wzajemnie. Nikt tu nie wie, co jutro przyniesie...

Harcourt żachnął się niecierpliwie:

— To możliwe. Ale w tem wszystkiem jest jedna partja poważna — i ta z konieczności musi wziąć górę nad innemi. A ci, którzy pójdą z nią od początku, mogą mieć piękną karjerę przed sobą.

— Albo też partja pozbędzie się ich gładko i pocichu... Ale wiesz, to coś doprawdy niesłychanego! — Do djabła, jeślim się spodziewał, że kiedy się spotkamy, będziesz miał głowę nabitą takiemi rzeczami!

Dochodziliśmy do biur naszej ajencji. Martigues urzędował w nich właśnie. Przywitali się z Harcourtem i zjedliśmy we trójkę śniadanie. Ajentowi nie zamykały się usta: pozował przed nami, jak najęty! Rozpowiadał — a to: jakie są jego sposoby traktowania chińskich handlarzy — a to: z jaką niesłychaną zręcznością umie zabierać się do interesu. Wszystko to roztaczał przed nami w potoku słów, zadowolony ze siebie, przechylając głowę na końcu kwiecistych okresów i mlaskając z zadowoleniem kącikami ust. My obaj z Harcourtem nie odzywaliśmy się wiele: woleliśmy pozwolić mu paplać. Był naprawdę pocieszny! Chwilami Harocurt rzucał mi drwiące spojrzenie — wreszcie zwrócił się do Martigues, tonem głębokiego przekonania:

— Ależ, dla tak inteligentnego człowieka jak pan, życie w tej dziurze musi być dosyć monotonne! Mało tu chyba ludzi ciekawych. Musi pan bardzo odczuwać brak inteligentnego towarzystwa...

— O tak! — odparł Martigues. — To też nie myślę gnić tu do śmierci. — Rzeczywiście mało tu stosownego towarzystwa, a przedewszystkiem mało ludzi kulturalnych. Panów tutejszych, obchodzą tylko interesy.

— A jakież są żony tych panów? — zapytał mój przyjaciel. — W tych chińskich miasteczkach, zdarzają się często wcale interesujące kobiety... Mają przecież tyle czasu... Czytają dużo...

— Tutaj nie — odparł Martigues — Tutaj i tego niema.

— Nie może pan powiedzieć nic zajmującego — nawet o pewnej damie tutejszej — Angielce...? — rzuciłem, niby od niechcenia.

Było rzeczą ogólnie wiadomą, że pani, o której mówiłem, utrzymywała z Martigues stosunki — więcej niż serdeczne... Ajent uśmiechnął się z zadowoleniem i zaczął zachowywać się z wyzywającą dyskrecją — tak, abyśmy mogli domyślać się wiele... Zaczął bębnić palcami po stole — zapatrzył się marząco w dal, przechylając na bok głowę. Znałem go już dostatecznie; wiedziałem, że w tej chwili ochota do zwierzeń walczyła w nim z obawą, iż zdradzi przed nami jakąś tajemnicę... Uśmiechnął się raz jeszcze tym swoim dudkowatym, nieznośnym uśmiechem i rzekł, odpowiadając na aluzję, ukrytą w mojem pytaniu:

— Proszę nie wierzyć w to... Osoba, o której pan wspomniał, jest dla mnie bardzo miłą towarzyszką — niczem więcej... Byłoby mi bardzo przykro, gdyby pan przypuszczał rzeczy..., które nie istnieją... Zresztą, są jeszcze inne powody ku temu... Od niedawna... jestem — doprawdy jest to położenie jedyne w swoim rodzaju!... jestem wmieszany w przygodę — o nieco romantycznym smaczku... Tak, romantycznym... Lepiej nie można tego określić...

Zobaczyłem, że nagle zląkł się, iż powiedział za wiele.

— Jest pan w szczególnych łaskach u Amora — rzekłem bardzo poważnie.

Nie chciałem nalegać nań pytaniami. Widziałem, że cofnął się i zamknął w sobie — nie odpowiedział nawet na ostatni mój komplement. Zwrócił się do Harcourta, pytając, czy nie zechce sprawdzić z nim listów frachtowych. Powróciliśmy więc wszyscy trzej do biura.



I powiózł mnie na statek, stojący na kotwicy u wejścia rzeki.

— Jedziesz teraz na okręt ze mną? — zapytał Harcourt. — Krypa warta jest widzenia z bliska — a jeszcze bardziej jej kapitan!

I powiózł mnie na statek, stojący na kotwicy u ujścia rzeki. W drodze rzekł mi:

— Cóż to za beznadziejny kretyn, ten Martigues! Rancé — nie siedź tu! Jedź zemną...

— Gdzie? — Zapytałem. — Do twoich Kuo-min-tangów?

— Tak. Nie siedź tu! — Czy ty się widzisz w skórze takiego jegomościa, który całe życie sprawdza jakość gatunków herbaty? — Co za gadanie! Nie jesteś stworzony na ajenta handlowego — tak, jak i ja...

VI.

Wybrzeże Fo-kien, z sinego stawało się prawie granatowe, przesuwając się wolno w okrągłej ramie okienka. Rancé spoglądał na nie ciągle, tak, jakby widok jego przydawał dokładności jego wspomnieniom i nasuwał mu coraz to nowe szczegóły.

— Zaraz na pierwszy rzut oka — mówił dalej — widziało się, że Fai-tsi-long dawno już musiał opuścić swą kolebkę w rodzinnych dokach. Przód miał staroświeckiego kształtu, mocno wygięty, nie przypominający niczem prostych, surowych linij nowożytnych statków. Komin jego był rozpaczliwie wysoki i mało wytworny w proporcjach, a wydęte boki przypominały grubasa, takiego brzuchatego draba, z obrazów holenderskiej szkoły. Kiedy morze było wzburzone, oglądany z tyłu, musiał robić wrażenie jakby przysiadał na fali tym swoim grubym, ciężkim zadem. Jednem słowem, stara krypa, która wiek cały plątała się po wszystkich morzach Europy, a teraz, spuszczona za tanie pieniądze kupcom na Dalekim Wschodzie, kończyła pracowity swój żywot, snując się po chińskich morzach. Wszystkie stare krypy kończą w ten sposób karjerę, na Dalekim Wschodzie, lub między wyspami Sundajskiemi. Zdarzało mi się nieraz spotykać takie stare pudła w okolicach Celebes i Wysp Moluckich. Trzyma się to kupy tylko mocą przyzwyczajenia — i dlatego, że wmawiają temu, że tak być musi.

Fai-tsi-long nie podobał mi się więc wcale i podzieliłem się mojem wrażeniem z Harcourtem.

— Eee, — odrzekł — nie taki on zły w gruncie, jak się wydaje. Na to, do czego służy, wystarcza aż nadto! Sprawia się zresztą jeszcze dzielnie na wodzie. Trochę dychawiczny — to prawda — ot, takie małe dolegliwości podeszłego wieku...

Wydrapaliśmy się na pokład i Harcourt począł mnie oprowadzać po statku, jak gospodarz gościa; bawiła go moja obrzydzona mina.

— Po prawdzie, to nie bardzo wygląda on zachęcająco, ten nasz Fai-tsi-long — mówił przytem. — Pełno wszędzie niechlujstwa i pudło całe przeżarte rdzą. Bo, widzisz, chińscy właściciele okrętów lubią oszczędzać na farbie olejnej... Załoga, to zbieranina z wszystkich portów na wschodnich wodach — kwiat szumowin, snujących się między Pak-hoi, a Tientsinem. (C. d. n.).

ŁAMIGŁÓWKI ★ MODY ★ MĘSKIEJ



Do jachtingu używa się, zależnie od pogody, cienkie pulowery z krótkiemi rękawkami i płytkim dekoltem, lub grubsze z długiemi rękawami i kołnierzem...

Pod znakiem morza...

Wielu z tych, którzy wyjeżdżają nad morze, zastanawia się: co właściwie z ubrań zabrać ze sobą?

Odpowiedź zawsze zależeć będzie od tego, jaką miejscowość kąpielową obierzemy sobie za siedzibę naszych urlopowych przyjemności.

Ktoś, kto zamierza wynająć skromny pokoik w zapadłej wiosce rybackiej, gdzie nie dociera nawet echo życia światowego kąpieliska i gdzie cały sens pobytu kuracjusza w prymitywnem środowisku sprowadza się do jednego mianownika: zupełnej swobody



Na prawo: Koszula z niebieskiej popeliny w białe kropeczki ożywia bardzo każdy jasny dress plażowy, do którego ubieramy krawat...



Na prawo: Najelegantszą kombinacją, noszoną nad morzem, pozostanie zawsze granatowa dwurzędówka i flanelowe jasnokremowe lub białe spodnie...

— ten napewno nie zapełni licznych kufrów rozmaitemi odmianami wytwornej garderoby plażowej, lecz weźmie ze sobą poprostu jeden kostjum kąpielowy, lub tylko szwimki (pływki), dwie pary płóciennych spodni i sandały, a na chłodniejsze dni pullower, lub grubszą wełnianą marynarkę i półbuciki z juchtu. Ten ekwipunek najzupełniej mu wystarczy.

Ale pisząc dziś o modzie męskiej, pozostającej pod znakiem morza, trudno nam wogóle brać pod uwagę tę napewno bardzo liczną rzeszę kuracjuszy, którzy wyjeżdżając nad morze z reguły nie kierują się żadnemi wskazaniami mody i zwykle zabierają ze sobą to wszystko, co już dawno przeznaczyli do... znoszenia. Zająć się musimy mieszkańcami tych miejscowości kąpielowych, których życie podobnie, jak w wielkich miastach, upływa pod znakiem konwenansów i stwarza rozliczne możliwości do wyzyskania inwencji w doborze gustownych materjałów i fasonów.

By uniknąć niepotrzebnego powtarzania się, wyliczymy te momenty dnia, w których dobrze ubrany gentleman musi dostosować swój wygląd zewnętrzny do wymogów życia w wielkiem kąpielisku. I tak:

Przedpołudniem wyruszamy zwykle na plażę, już ubrani w kostjum (tam, gdzie możemy spotkać panie, szwimki są movais-genre) i płaszcz kąpielowy, utrzymany w spokojnych kolorach. Jako nakrycie głowy zabieramy zwykle płócienną furażerkę, lub marynarskie kepi. Specjalne plażowe sandały, lub zwykłe płócienne buciki tenisowe, które już na piasku zdejmujemy, uzupełniają nasz ranny strój. Wyruszając żaglówką na morze, wdziewamy flanelowe, lub płócienne spodnie, zwykle białe, koszulkę z krótkimi rękawkami i beret, nie zapominając o pullowerze i płaszczu nieprzemakalnym, które potrzebne nam będą w razie nadejścia sztormu.

Popołudniu wyglądamy najlepiej w granatowej dwurzędówce, lub szewiotowej marynarce sportowej i białych flanelowych spodniach. Do tej kombinacji nosi się zwykle białe półbuciki z bronzowemi obkładami i cienką „panamę“.



Jeśli już ubieramy kapelusz nad morzem, to musi on być przepasany wstążką, utrzymaną w żywszych, kontrastujących kolorach...

Wieczorem, zależnie od okoliczności, ubieramy na bal, lub do kasyna smoking — na prywatne przyjęcie ciemne dwurzędowe ubranie marynarkowe.

★ ★ ★

Przy ocenie, jakie ubrania należy zabrać nad morze, pamiętać jeszcze musimy o tem, że plaża jest terenem, na którym wszystkie nasze „białości“ ulegają szybkiemu zbrukaniu i dlatego ilościowo ważnem będzie zaopatrzenie się w odpowiednią liczbę spodni płóciennych, lub flanelowych, przyczem te ostatnie wykazują na piasku znacznie praktyczniejsze zalety.

W resorcie bieliźnianym zasługują na wyróżnienie koszule z surowego jedwabiu, wszystkich siatek i cienkiej popeliny.

Brummell.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

CHŁODNIK NA ROSOLE. Lekki rosół wygotowany z kości i jarzyn ostudzić, zebrać wszystek tłuszcz z powierzchni. Do rosołu tego wlać tyle barszczu żytniego lub burakowego, aby smak był lekko kwaskowy. Dodać też trochę botwinki i młodych buraczków, osobno ugotowanych, 1/4 l śmietany rozbić z dwoma żółtkami, podprawić barszczyk i ostudzić na lodzie. Przed podaniem dodaje się łyżkę siekanego kopru, parę jaj na twardo gotowanych, kiszonego ogórka lub głąbików, pokrajanych w kostkę lub też dla amatorów, surowego ogórka poszatkowanego w plasterki i wyciśniętego. W dnie bardzo gorące kładzie się na każdym talerzu przed nalaniem zupy kawałek lodu.

ZUPA Z MAŚLANKI. Litr młodej maślanki i 1/4 l takiejż śmietany ubija się miotełką lub spiralką od piany tak długo, aż się spieni i zamraża na lodzie. Przed wydaniem wsypuje się szklankę wybranych poziomek, dodaje trochę cukru. Biszkopty jako dodatek.

Zupa ta nie cukrzona i bez poziomek może być podana do młodych ziemniaczków.

KALAREPKA DUSZONA NA KWAŚNO. Młodą, nie drzewiastą kalarepkę obłupać i pokrajać wraz z młodemi listkami i sparzyć wrzątkiem i odcedzić, następnie podlać wodą a dodawszy łyżkę masła, dusić do miękkości, poczem zasypuje się łyżeczką mąki, dodaje soku cytrynowego, soli i cukru do smaku i zagotowuje raz jeszcze. Podaje się do kaczki lub gąski pieczonej, zrazów itp.

MŁODA KAPUSTA W ŚMIETANIE. Główkę młodej kapusty pokrajać w ćwiartki i ugotować na pół miękko, następnie pokrajać w drobne paseczki, włożyć do rondla na cebulkę, usmażoną na łyżce masła, poddusić i zalać szklanką śmietany, rozkłóconą z łyżką mąki, gotować jeszcze parę minut i wydać obłożoną nowemi ziemniaczkami.

PSTRĄGI W MARYNACIE. Oczyszczone ryby nasala się i odstawia, tymczasem gotuje się smak z jarzyn ładnie pokrajanych. Gdy jarzyny są na pół ugotowane, dodaje się (na litr smaku) kieliszek winnego octu, szklaneczkę kwaśnego wina, dwie kostki cukru, parę liści bobkowych, pieprzu angielskiego i zwykłego w całości, oraz cebulę pokrajaną w krążki, wkłada rybę całą, lub o ile większa, pokrajaną w dzwonka i gotuje w smaku powoli do miękkości, poczem się odstawia naczynie wraz z rybą. Po zupełnem ostudzeniu układa się rybę w słoju i zalewa smakiem. Marynata przechowuje się w suchem i chłodnem miejscu nawet parę tygodni.

Inny sposób mniej znany, zaleca usmażyć rybę na oliwie, ułożyć w słoju i zalać ostudzonym smakiem nagotowanym z odjętych główek i ogonów, oraz jarzyn i innych dodatków, jak wyżej podano.

NÓŻKI CIELĘCE W CIEŚCIE. Ubija się ciasto z trzech jaj, 4 łyżek śmietany, szczypty soli oraz tyle mąki, aby ciasto było gęściejsze, niż na naleśniki. Nóżki cielęce ugotowane w słonej wodzie z jarzynami wyciera się do sucha serwetą, obiera z kości, kraje w kawałki, osypuje mąką, macza w cieście i smaży pływająco na rozpalonym mięszanym tłuszczu. Usmażone na złoty kolor kawałki układa się na półmisku i posypuje zieloną pietruszką. Podaje się z ziemniaczkami, osobno ostry sos musztardowy lub inny.

NALEWKA OWOCOWA. (na zapytanie kilku abonentek). Do gąsiora czterolitrowego nalewa się 2 litry najlepszego spirytusu i wrzuca do tegoż surowe owoce w ilości po 10 dkg z każdego rodzaju. O ile chcemy mieć nalewkę wiśniową, daje się na litr spirytusu 50 dkg dużych wiśni, z których połowę drelujemy z pestek. Te ostatnie miażdży się młotkiem i wrzuca również do spirytusu, z czego nalewka otrzymuje specjalny smak i aromat. Do nalewki z różnych owoców nie daje się tak dużo pestek, gdyż smak tychże zagłuszyłby każdy inny w nalewce, daje się więc tylko 8—10 rozmiażdżonych pestek. Po 1—2 miesiącach scedza się spirytus o pięknym rubinowym kolorze i używa go jako ekstraktu do robienia likierów i wódek. Ratafja, tj. ten właśnie ekstrakt używany też bywa nierozcieńczony, jako koniak.

SŁONE MIGDAŁY LUB ORZESZKI. Oparzone i obciągnięte z łupki migdały posolić i prażyć w rondelku na ogniu, mieszając. Ładnie zrumienione podaje się jako przekąskę do wina lub wódki. Również orzechy laskowe można w ten sposób przyrządzić, należy je naprzód bez soli uprażyć w patelni na ogniu, wyrzucić na grubą ściereczkę i wycierać silnie, aby z nich skórka zeszła, potem dopiero praży się je powtórnie, posypane solą.

KREM AGRESTOWY. Pół litra agrestu oczyścić z szypułek, wypłókać w zimnej wodzie, włożyć do dobrze pobielanej lub kamiennej rynki, zalać wodą do przykrycia i gotować bez przykrywania, aż się agrest rozgotuje. Na porcelanowej salaterce ubić 2 żółtka i jedno całe jaje z 15 dkg cukru pudru oraz troszką otartej skórki z cytryny, zalać powoli rozgotowanym agrestem i mieszać tak długo, aż się utworzy jednolita masa, którą należy doskonale ostudzić i wstawić następnie do lodu. Podaje się z kruchemi ciastkami lub z waflami.

Szyc-Korska.

WENTYLATOR Z GUMY





Dotychczasowe wentylatory odznaczały się zawsze niebezpieczeństwem dla nieostrożnych osób, które lekkomyślnie zbliżały ręce do wirującego metalowego wiatraczka.— Obecnie konstruktorzy wynaleźli wentylator, w którym skrzydła wiatraka zrobione są z gumy i przez to nawet w ruchu zupełnie nieszkodliwe dla rąk ludzkich.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 27 **Czerwiec** Dni 30
Niedziela **28** Leona p.	Zupa z drobiu z smażonym groszkiem. Omlet z grzybkami. Pieczona kaczka z kalarepką na kwaśno. Kruchy placek z pianką poziomkową. <u>Kolacja</u>: Pstrągi marynowane.
Poniedziałek **29** Piotra i Pawła	Chłodnik na rosole. Rizotto z podróbek. Polędwica po angielsku z młodemi jarzynami i ziemniaczkami. Lody z bitą śmietaną. <u>Kolacja</u>: Smażone kurczę na zimno z mizerją.
Wtorek **30** Emilji	Zupa szczawiowa z ryżem. Kalafior z rumianem masłem. Nóżki cielęce smażone w cieście. Kompot z truskawek i czereśni. <u>Kolacja</u>: Kefir z młodemi ziemniaczkami.
Środa **1** Teobalda	**Lipiec** Dni 31 Zupa z świeżych grzybków z płatkami. Budyń jarzynowy. Młoda gąska z duszoną kapustą na śmietanie. Krem agrestowy z keksami. <u>Kolacja</u>: Grzybki z jajami.
Czwartek **2** Nawiedz. NPM.	Zupa groszkowa z tartem ciastem. Włoska kapusta z masłem. Potrawka z kurczęcia w śmietanie z kluseczkami. Kompot mieszany. <u>Kolacja</u>: Jaja perduty w śmietanie.
Piątek **3** Alfreda	Chłodnik owocowy z grzaneczkami. Kalarepka z rumianem masłem. Karp pieczony w sosie sardelowym z makaronem lub ziemniaczkami. Krem ryżowy z śmietaną. <u>Kolacja</u>: Pierożki z jagodami.
Sobota **4** Józefa Kalas.	Krupnik na śmietanie. Młoda kapusta z rumianem masłem i bułeczką. Zraziki cielęce w cytrynowym sosie z knedelkami bułkowemi. Poziomki z śmietaną. <u>Kolacja</u>: Jaja w szklance, chleb, ser.

ŻYCIE NA PLAŻY









Powyżej od lewej: Tak wyglądało życie na plaży przed 20 laty — a tak (na prawo) wygląda ono dzisiaj.

Gdy się leży — niemal tak, jak nas natura stworzyła — wtulonym w miałki, ciepły piasek helskiej plaży, rozkoszując się beztroskiem „far niente", słońcem i powietrzem — trudno jest wyobrazić sobie, że był czas — i to nie tak dawno jeszcze temu — kiedy rozkosze te były ludziom zupełnie nieznane.

Początki „życia plażowego" sięgają zaledwie XIX wieku. W dawniejszych epokach ten rodzaj wypoczynku nie był znany. Czyż można się dziwić? W XVIII naprzykład wieku życie towarzyskie skupiało się w salonach i buduarach — przyrodę kokietowano fałszywym sentymentalizmem, podziwiając jej uroki... najchętniej przez okno, lub z pałacowego tarasu. Czyż rokokowe elegantki, tak sztuczne i wyszukane w pozie i stroju, z kunsztownemi fryzurami spiętrzonemi misternie na pudrowanych główkach, mogły sobie pozwolić na śmiałe tête à tête z morskim podmuchem, który nieuszanowałby napewne ani architektury ich koafiur, ani porcelanowej bieli zdobnych w kokieteryjne muszki twarzyczek? A kąpiel w morzu? Nie zapominajmy, że w całym przepychu Wersalu istniała tylko jedna łazienka, a wiejskie rezydencje długo jeszcze były tych „nowomodnych fanaberyj" zupełnie pozbawione.



Na prawo: Florine Mc. Kinney, „bathing-girl" wytwórni M. G. M.





Na dużej fali...



We Francji podobno modę morskich kąpieli wprowadziła ks. de Berry. Gdy piękna cesarzowa Eugenja upodobała sobie Biarritz, cały paryski „beau monde" zapragnął pójść za jej przykładem; czyniono to dla snobizmu i bez entuzjazmu.

Posłuchajmy, co pisze hrabina d'Armaillé w swych pamiętnikach: „Morze wygląda jak mglista i płaska nizina, wybrzeże jest monotonne, jada się fatalnie w oberżach niewypowiedzianie brudnych, śmierdzących wódką i fajką w sposób mogący ukrócić najzdrowszy apetyt". Nie trzeba zapominać, że pierwsze kąpieliska, które zaledwie zaczynały wchodzić w modę, nie przypominały w niczem komfortu i luksusu, jakim odznaczają się dzisiejsze „bains de mer". Lecz już wkrótce powstaje kilka eleganckich i pięknie urządzonych miejscowości kąpielowych. Trouville zaczyna być letnią stolicą Francji, do Bath zjeżdża na letnie wywczasy cała elita Londynu — a Biarritz ściąga w sezonie najpiękniejsze kobiety Europy.

Jeden z współczesnych zauważa nie bez lekkiego zgorszenia, że nawet w Houlgate, plaży solidnej renomy, zaludnionej burżuazyjnemi rodzinami, „zaczyna się widy-



lorach. Widziałam kilka pań tak ubrany... lecz wyznam, że dalekie to jest od wszelkiej przyzwoitości. Gdy właścicielka takiego kostjumu wychodzi z wody, jedwabny trykot tak ściśle przylega do jej figury, że poprostu zdradza wszelkie jej tajniki, a gdy strój ten znajduje się w stanie suchym, każdy powiew wiatru unosi lekką tkaninę, odsłaniając nogi aż powyżej kolan. C'est indécent et choquant..."

Ale — „tempora mutantur et nos mutamur in illis". Plaża powoli zerwała z konwenansem, stała się terenem towarzyskim zupełnie nowym i oryginalnym, na którym obowiązują odrębne stroje i przepisy „dobrego tonu". Dziś nikogo nie razi smukła sylwetka nowoczesnej najady w obcisłym wyciętym i do minimum zredukowanym kąpielowym kostjumie, a na bronz opalona skóra stała się obowiązującem uzupełnieniem tego niemalże „rajskiego" stroju. Plaża przestała być filją salonu, oazą dla znudzonych wielkomiejskich bawidamków i spragnionych flirtu dam z wielkiego miasta.

(Ciąg dalszy na str. 30-ej).







***Na lewo:* Płaszcz kąpielowy z białej flaneli z kapuzą, przypominający swym wyglądem habit.**

***Poniżej:* Sukienka plażowa z wzorzystego płótna, w stylu egipskim.**

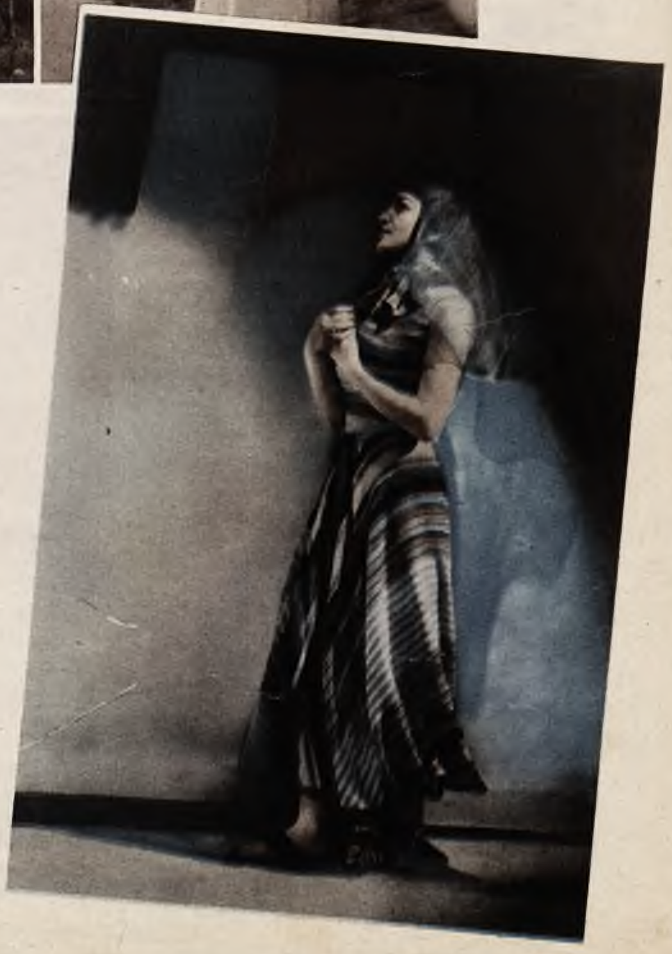
Fot. d'Ora — Paryż.

Powyżej: Oryginalne modele wełnianych kostjumów kąpielowych.

wać spódniczki o wiele za krótkie, krótsze, niżby tego wymagało rozhukanie fal i podmuchy morskiego wietrzyka". Nikomu jeszcze na myśl nie przychodziło, że ten wąski pas złotawego piasku, oddzielający błękitną morską toń od stałego lądu — stworzonym jest na to, aby piękność kobieca, nieskrępowana konwenansami, dziwactwami modnych tualet, tiurniur i gorsetów — mogła się ukazywać w całej swej naturalnej krasie.

Plaża przypominała wtedy trochę ogród, trochę salon — stroje zaś — garden party. W epoce krynolin wyglądało to jak ogród barwnych tulipanów, nad któremi unosiły się kolorowe parasolki, któremi elegantki ochraniały się zazdrośnie przed zbyt brutalnemi pieszczotami słonecznych promieni. Dogmatem był przesąd, że słońce psuje cerę, a opalenizna stoi w jaskrawej sprzeczności z dystynkcją i kobiecością. Tylko kobiety z gminu mogły sobie na nią bezkarnie pozwalać. Więc piękne panie kryły swe twarzyczki pod wielkiemi kapeluszami z włoskiej słomy, osłaniając je jeszcze dla pewności gazowemi woalami. Wachlarz, poruszany obciśniętą w ażurowe rękawiczki dłonią, współzawodniczył z naturalną ochłodą, jaką dawał biegnący od morza wiaterek. Wistocie rzeczy służył jedynie dla ozdoby, a w cieniu jego szeptano słodkie słówka i komplementy. U stóp pięknych dam siadywali wytworni dandysi w angielskich flanelowych kompletach, w perłowych kamaszkach, z laseczką — równie banalni i równie dworni, jak w paryskim salonie.

Dla dziwaków polujących na oryginalność i moczących się Bóg raczy wiedzieć w jakim celu w zimnej wodzie, magazyny paryskie kreują coraz to nowe kostjumy kąpielowe i wnet będzie należało do dobrego tonu pokazać się w nich od czasu do czasu. Nie sądźmy, że były one choć trochę podobne do tej odrobiny trykotu, którą przywykliśmy nazywać tem mianem. Obszerne, suto marszczone tuniki zakrywały starannie niemniej obszerne i długie majteczki, a gumowe, bez wdzięku na czoło wciśnięte czepeczki chroniły misterne loki, warkocze i t. zw. „postiche". Niedługo przed wojną, pewna piękna pani, bawiąc na plaży w Ostendzie, taką zdawała relację swej przyjaciółce z ówczesnej mody plażowej: „Wyobraź sobie — ma chère — że mistrzowie mody paryskiej próbują lansować kostjumy kąpielowe z jedwabnego trykotu i to wcale śmiałe w ko-





Zabawa
na słonecznej
plaży...

Dokończenie ze strony 28-ej.

Stała się dostępna dla wszystkich tych, którzy spragnieni są prawdziwego odpoczynku w szczerym i bezpośrednim kontakcie z przyrodą. Nietylko moda i snobizm, ale przedewszystkiem higjena i zamiłowanie sportów sprawiają, że gdy letnie słońce rozgrzeje chłodne fale morza i ciepłem nasyci biały piasek wybrzeża — tłumy ludzi zaludniają każdy niemal jego skrawek, znajdując w radosnej beztrosce plażowego życia odprężenie dla nerwów, zapasy nowych sił i zdrowia tak fizycznego, jak i moralnego.

E. M.

* * *

A teraz oddajemy skolei głos „Pani Modzie":

Współczesna plaża to kalejdoskop pięknych kształtów i pięknych kostjumów. Nietylko sam obcisły trykot wchodzi w skład tego obrazu. Kompletują go sukienki plażowe, shorty, pyjamy, barwne płaszcze kąpielowe i praktyczniejsze od nich cape'y.

Wybierając się nad morze i to nad polskie morze, które oczekuje nas, nie tak potulne i wygrzane, jak plaże mórz południowych, ale tem więcej sił i rzeźkiej radości, wlewając nam w zwiotczałe całorocznym trudem żyły, nie obejdziemy się bez wełnianego trykotu. Gęsty trykot fabryczny czy ręczny przylega dokładnie do ciała i nie tamuje niczem ruchów w kąpieli i przy pływaniu, bo jest przytem krótki i bez rękawów. Krój jego otwarty na plecach, pozwala przytem na wykorzystanie kąpieli słonecznych i wietrznych, ilekroć wychylimy ciało z morskiej, pieszczotliwej fali.

W trykocie nie ukazujemy się na na plaży bez płaszcza kąpielowego. Słuszny konwenans zaleca pewne reguły w swobodnem życiu plażowem. Sukienki plażowe i pyjamy lub shorty służą do odbywania przechadzki nad brzegami morza lub też do spędzania długich godzin „dolce far niente" na rozgrzanym piasku, gdy poddajemy ciało dobroczynnym promieniom słońca.

Pyjamy i sukienki plażowe poleca się osobom o wydatniejszej tuszy, shorty służyć mogą tylko paniom o nieskazitelnej budowie ciała. Bluzeczki do tych wszystkich rodzajów ubioru plażowego są w dalszym ciągu całkiem miniaturowe. Obcisły trykocik bez rękawów odsłania plecy, przytrzymany zazwyczaj rodzajem kołnierzyka wokół szyi.

Po wielobarwnych nowościach meksykańskich ubiegłego sezonu, sensacją mody plażowej są w tym sezonie płaszcze i okrycia głowy, zapożyczone aż z starożytnego Egiptu. Moda, która śledzi bacznie zainteresowania światowej polityki, wyrusza na podbój Afryki. Po Egipcie zacznie penetrować Abisynję. Mussolini nie będzie się o to napewno gniewał!

Mewa.



MORSKIE »SIOSTRZYCE« na bursztynowym brzegu...





Latarnie morskie: na Rozewiu (na lewo) i na Helu (na prawo)

Nad brzegami polskiego morza wystrzelają w górę dwie wieże potężnych latarń: Helska i Stefana Żeromskiego. Stoją na przeciwległych krańcach. Jedna na sypkim piasku mierzei, wzmocniona potężnym cokołem kamiennym; druga smukła, na szczycie wysokiego zbocza przylądka Rozewskiego. Świecą się co noc szczyty obu kamiennych kolosów. W błysku ich rytmicznych świateł, powtarzających się w sekundowych odstępach czasu, jest coś niesłychanie posępnego, a jednocześnie pocieszającego. Marynarze na pokładzie dalekich okrętów, widząc zbawcze światła latarń, myślą z ulgą: „Ktoś nad nami czuwa! Ktoś o nas pamięta!"



Lampa i lustra pryzmatyczne na Helu.

I rzeczywiście czuwa straż, uzbrojona w cały arsenał nowoczesnych środków obronnych i ostrzegawczych przed nadciągającym wrogiem — żywiołem...

O ileż musielibyśmy rozszerzyć ramy tego skromnego artykułu, gdybyśmy chcieli opisać wszystko, co tu jest pięknem interesującem, niewyzyskanem, a malowniczem dzięki rozrzutności Stwórcy. Zbliża się wieczór — wchodzimy na szczyt galeryjki latarni Stefana Żeromskiego w Rozewiu. Przy zachodzącem słońcu majaczy z odległości ponad 40 km wyprostowana na brzegu strzelista wieża latarni w Helu. Światła jej już są zapalone, gdyż spokojny pierścień jasności szerzy się z matematyczną dokładnością daleko, śląc ku nam swe pozdrowienie.

Czasami tylko, gdy mleczny i cieknący zewsząd gęsty opar mgły nisko zawiśnie nad powierzchnią morza, a światło latarni Helskiej i Żeromskiego nie jest wstanie przedrzeć się przez zwały oparów, wówczas z błyskiem światła rozlega się złowrogie wycie olbrzymich syren mgłowych obu latarń. Głos ten pnie się wysoko, później przechodzi w ostry, prawie gniewny ryk, wychodzący z ciasnego otworu żelaznych warg. Równocześnie z obu latarń mkną w eter sygnały radjowe tak zwanych radjo-latarń. Władze polskie w latarniach na Rozewiu i w Helu, poczyniły szereg ulepszeń technicznych i wyposażyły je w ostatnie zdobycze techniki morskiej, instalując automatyczne radjo-latarnie. Praca ich polega na wysyłaniu sygnałów radjowych. Obie stacje radjowe są zsynchronizowane z syrenami mgłowemi.

Latarnia Rozewska ma wiek już sędziwy. W roku 1622 stanowiła ona już basztę, na której palono smolne żagwie w koszu żelaznym lub w kotle palącą się smołę. Tego rodzaju prymitywne urządzenie latarni przetrwało aż do rozbiorów. Niemcy zastąpili smolne żagwie oliwą, następnie ropą, a w końcu naftą. Oświetlenia naftowego używano na Rozewiu do roku 1910. Niedługo potem baszta otrzymała konstrukcję żelazną, wyposażoną w instalację elektryczną z pryzmatowym aparatem latarnianym. W owym czasie latarnia Rozewska była najpotężniejszą latarnią morską w całym świecie.

Latarnia Helska jest znacznie młodsza. Budowę jej rozpoczęli Prusacy w roku 1806 obok dawnej blizy, to jest żurawia, na którym wisiał kocioł, a w nim paliła się nocą smoła i węgiel drzewny. Bliza była bardzo sławną w Polsce. Jan III w roku 1678 przybył do Helu z Pucka, by ją zobaczyć. Prusacy byli zmuszeni przerwać zpowodu wojen zapoczątkowaną budowę obecnej latarni Helskiej i wykończyli ją dopiero w roku 1820.

Latarnia na przylądku Rozewskim została nazwana w roku 1933, z inicjatywy znakomitego piewcy Kaszub i morza polskiego senatora Bernarda Chrzanowskiego imieniem Stefana Żeromskiego. Piękny to był pomysł! Wielkość swej ziemi rodzinnej potrafił Żeromski wszędzie odnaleźć i w kwiecistych błoniach kaszubskich i w potężnej symfonji polskiego morza.

A. S.

Poniżej: Kierownik latarni Żeromskiego, p. Leon Wzorek przy aparaturze radjo-latarni.



HOCKI-KLOCKI

„WILK MORSKI"



— Zdaje się, że panu morze niebardzo służy?
— Morze, to drobiazg, tylko palenia fajki w żaden sposób nie mogę znieść.

Rozwiązania z N-ru 25-go.

ZDUMIEWAJĄCE POKREWIEŃSTWO.

Pokrewieństwo takie może powstać, jeśli jest dwóch mężczyzn i każdy z nich ożeni się z matką drugiego. Wówczas ich synowie będą zarazem swymi wujami i siostrzeńcami.

NUMER DOMU.

Pod numerem 204. Domów po tej stronie ulicy było 288.

NA SZOSIE.

Pan A. jechał z szybkością 30 km/godz., pan B. — 20 km/godz.

PUDŁO CZEKOLADEK.

Ponieważ żadna liczba nie może zniknąć przez zmniejszenie jej o 1/10, więc ostateczne wypróżnienie pudełka przypadło w udziale Jankowi. A ponieważ jego ostatnia zjedzona porcja wynosiła 9/10 poprzedniej liczby, więc konsumpcja Janka tego dnia musiała być podzielna przez 9. Z posiadanych wiadomości wynika, że mogło to być tylko 9 lub 18, jednak że 18 nie spełnia wszystkich warunków, więc ostatniego dnia Janek zjadł 9 czekoladek. Cofając się wstecz otrzymujemy jako początkową ilość czekoladek w pudle 81.

KORZYSTNA OKAZJA.

Przy ustawieniu

Sswssssswswwwwswwsswwsswsssswwwwws,

gdzie „w" oznacza wiśniówkę, „s" zaś starkę, zaczynając liczyć od S i odrzucając wszystkie wyliczone flaszki, wybierze się wszystką wiśniówkę. Odrzucanie flaszek jest konieczne ze względu na wielką łatwość popełnienia omyłki.

ODLEGŁOŚCI.

Kwadrat odległości w kilometrach wynosi

$$\frac{104^2+88^2}{2} - 64^2 = \frac{(13^2+11^2-128)\,8^2}{2} = 81 \times 64 = 5184$$

a więc odległość miejsca zamieszkania radjo-amatora od radjostacji jest kwadratowym pierwiastkiem 5184, czyli 72 kilometry.

PAŃSTWO PTASZKOWIE I JABŁKA.

Jabłek było 1221 (11 rzędów po 111 lub 111 rzędów po 11).

HUMOR ZAGRANICZNY

ROZMÓWKA TOWARZYSKA



— Jakto, nie poznajesz pana?
— Niezupełnie! Jeszcze go nigdy nie widziałam jako szkieleta! (Vie Parisienne).

Dokończenie z str. 15-ej.

dziej foki, zwane przez Kaszubów „zelintami". Dawniej było ich znacznie więcej podobnie jak i morświnów, ale ginęły one z ręki rybaków, którzy nienawidzili je za wyjadanie im ryb i niszczenie sieci. Dzisiaj dzięki zajadłemu tępieniu ich, nie można fok zaliczyć do stałych mieszkańców naszego morza.

Zato na wodach Bałtyku zjawia się ptactwo niekiedy bardzo licznie. Ukazują się kaczki i gęsi, rybitwy, perkozy, nurki a nawet zalatują do nas i łabędzie. Unoszą się w powietrzu w niezliczonej ilości mewy, które polują na ryby, opuszczając się nieraz ku samej powierzchni morza, aby z fal morskich wyrwać upatrzoną ofiarę. Szczególnie na wiosnę i w jesieni kiedy odbywają się ciągi ptaków, wybrzeże roi się od różnorodnych gatunków przelotnego ptactwa.

A na piaszczystem wybrzeżu skaczą drobne skorupiaki „zmieraczkami" zwane, które umieją zakopywać się szybko w piasku. Stanowią one sanitarną policję wybrzeża, gdyż usuwają szczątki gnijących roślin i zwierząt wyrzuconych przez fale.

Podobnie jak zwierzęta tak też rośliny Bałtyku nie przedstawiają zbyt wielkiej różnorodności. Na powierzchni wody unoszą się swobodnie glony, które od wielkości mikroskopijnej dochodzić mogą do kilku metrów. Większość roślin przytwierdza się do kamienistego podłoża i tworzy gęste, podwodne łąki, dające schronienie rybom i innym drobniejszym zwierzętom. Glony nie schodzą w głąb morza dalej, jak do 10-ciu metrów i układają się warstwami: najpierw zielone, potem brunatne a wreszcie czerwone. Najpospolitszym na polskiem morzu jest brunatny glon-morszczyn pęcherzykowaty (Fucus vesiculosus), który tworzy jakgdyby krzaczki. Na widlastych jego rozgałęzieniach widoczne są pęcherzyki, wypełnione powietrzem, które ułatwiają roślinie wznoszenie się w kierunku pionowym. Z wodnych roślin kwiatowych niesłusznie zwanych trawami morskiemi najpospolitszem jest webło cz. tasiemnica (Zostera marina) o długich, wiotkich, wstęgowatych liściach. Na wybrzeżu — tam, gdzie grunt jest piaszczysty, utrzymać się mogą roślinki tylko niewielkie, rosnące przy ziemi, odporne na działanie wiatrów. Przed grożącem im wyparowaniem chronią je wąskie, często zwinięte i sztywne liście, nierzadko pokryte warstewką wosku. Zakorzeniają się one silnie, tworząc podziemne rozłogi. Przedewszystkiem rosną tu różne trawy piaskowe, obok nich w kępach pojawia się wydmuchrzyca piaskowa (Elymus arenarius), która w znacznej mierze przyczynia się do ustalania wydm przez wiązanie piaszczystego gruntu swemi korzeniami. A skoro nadejdzie wiosna, złocą się w blaskach słońca żółte, podobne do motyli kwiaty żarnowca. Na podłożu przepojonem solą rośnie soliródek zielny (Salicornia herbacea), prócz niego rokitnik (Hippophaë rhamnoides) zwany także „nadmorską wierzbą". Charakterystyczną rośliną ustalonych wydm nadmorskich jest piękny, ametystowo kwitnący mikołajek nadmorski (Eryngium maritimum), o sztywnych i ostrokolczastych liściach, pozostający dzisiaj pod ochroną. Od strony Wielkiego Morza, w pobliżu Ostrowia znaczny obszar zajmuje największe polskie wrzosowisko Bielawskie. Prócz wrzosów, które stanowią jego główny składnik, rosną tu jeszcze borówki, mchy i porosty, widoczne są karłowate wierzby i brzozy. Tam zaś, gdzie grunt jest bardziej podmokły przechodzą wrzosowiska w torfowiska, zbudowane przez mech torfowiec (Sphagnum). Pięknie przedstawiają się te wielkie obszary, gdy zaczną bieleć od jedwabisto lśniących białych włosków owocującej wełnianki (Eriophorum). Roślinność wrzosowiska, która doskonale wiąże ziemię, stwarza dogodne podłoże dla rozwoju innych roślin. Z drzew rosną na naszem wybrzeżu dęby i buki, prócz nich rzadka jarzębina szwedzka. Lipy tworzą słynną aleję w Rzucewie, którą własnoręcznie miał założyć Jan III. Najtypowszem jednak drzewem i bardzo wytrzymałem jest sosna, często skarlała i powyginana od wiejących wiatrów. Ona to przyczynia się do ostatecznego ustalania piasków.

Niegdyś, przed miljonami lat szumiały na wybrzeżu bursztynowe sosny (Pinus succinifera), o których istnieniu świadczą dzisiaj wyrzucane przez morskie fale złocisto-żółte kawałeczki bursztynu, zastygła żywica — „łzy" owych drzew.

Dr. Z. Maślankiewicz.

To warto poznać...



Na scenie

„Krakowiacy i Górale“ Bogusławskiego i Kamińskiego w opracowaniu literackiem i scenicznem Zygmunta Nowakowskiego, to jedno z najpiękniejszych naszych widowisk tetralnych. — Z okazji „Dni Krakowa“ wznowił **Teatr im. J. Słowackiego** to wspaniałe widowisko w znakomitych dekoracjach i kostjumach pomysłu Mieczysława Różańskiego, z miłą ilustracją muzyczną Kurpińskiego, wzbogaconą przez Kazimierza Meyerholda nowemi warjacjami i duetem.

O przedstawieniu tem, święcącem obecnie nowe triumfy artystyczne, wspomnimy obszerniej w następnym numerze „Asa“, tu jedynie notujemy, że aktorsko, muzycznie i tanecznie zespół dra-



Marja Malicka świetnie odtwarza rolę Wiwji w „Profesji pani Warren“.

matyczny krakowskiego teatru wykonał „Krakowiaków i Górali“ brawurowo, w szczegółach znakomicie, a świetne kreacje dali Matusiakówna (Basia), Pawłowska (Zosia), Wacław Nowakowski (Bryndus), Fabisiak (Miechodmuch), Burnatowicz (Bardos), Kondrat (Morgal), Woźniak — (Stach).

Widowisko wzbogacone zostało przez Zygmunta Nowakowskiego aktualnemi satyrycznemi piosenkami i kupletami, które wzbudzają entuzjastyczny rezonans na widowni.

„Krakowiacy i górale“ cieszą się powodzeniem, bo są świetnie przestylizowanym obrazem naszego folkloru. Regjonalne widowiska stają się coraz bardziej popularne. Dowodem tego także sukcesy, jakie zdobywa we **Lwowie** wodewil **„Na Łyczakowie“**, opracowany przez Wiktora Budzyńskiego na podstawie dawnej sztuki Dominika, grany w **Teatrze Wielkim.**

W teatrach warszawskich rozpoczął się już letni sezon, jak stwierdza krytyka, nienadzwyczajnemi sztukami i przedstawieniami. — **W Teatrze Małym** graną jest komedja Sarmenta **„Lord i Hiszpanka“**, o której mówi Wierzyński, że w tej formie, w jakiej ją podano, utwór ten jest „koślawą niezdarnością, długotrwałem nudziarstwem, irytującym nonsensem“. Przy obsadzaniu sztuki popełniono kilka grzechów głównych, jedynie Znicz znakomity jest w drobnej roli.



Halina Cieszkowska doskonale gra rolę tytułową w „Profesji pani Warren“.

W Teatrze Kameralnym w Warszawie wystawiono komedję A. P. Antoine'a „Nieprzyjaciółka“, o której Grzymała-Siedlecki pisze, że jest to „jedna z najsłabszych sztuk, jakie się przewinęły przez repertuar scen polskich w ostatnich kilku latach“.

Grano zato sztukę bardzo dobrze, a zasłużone oklaski zbierali Grywińska, Markiewicz - Domańska, Adwentowicz, Ciecierski, Tatarski, Kwiatkowski, Zacharewicz. Zabawne dekoracje dał prof. St. Jarocki.

Teatr Malickiej gra obecnie komedję Bernarda Shaw **„Profesja pani Warren“**. Jedna z najwcześniejszych sztuk Shaw'a zdobyła sobie znowu powodzenie u publiczności, a grana jest doskonale. Szczególnie podkreśla zgodnie krytyka świetną kreację Malickiej w roli Wiwji Warren, kreację tem godniejszą uwagi, że w roli tej wyzbyła się Malicka swego dotychczasowego rodzaju „słodkiego stworzenia“. Rolę matki Wiwji gra Cieszkowska z siłą dramatyczną i umiarem artystycznym, a resztę ról starannie odtwarzają Bay-Rydzewski, Bonecki, Darliński, Wojtecki. (b)

NA NAJLEPSZEJ FALI

według programu nadesłanego przez **Polskie Radjo.**

NIEDZIELA — 28. VI.

8.00 Audycja poranna.

9.50 Transm. z Placu Marszałka Piłsudskiego z okazji Święta Morza.

10.30 Muzyka orkiestrowa (płyty).

12.03 Poranek muzyczny.

14.30 „Audycja dla wsi“.

15.30 Muzyka lekka.

16.30 Transmisja ze Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerji w Włodzimierzu Wołyńskim.

17.00 „Pieśni o morzu“

17.20 Muzyka.

18.00 Teatr Wyobraźni — „Na morskich szańcach Rzeczypospolitej“ — słuchow.

18.30 Reportaż z Pierwszego Zjazdu Kaszubów w Gdyni.

18.40 Konc. rozrywkowy z Krakowa.

21.30 Recital wiolonczelowy Zofji Adamskiej.

22.20 Muzyka taneczna.

PONIEDZIAŁEK — 29. VI.

8.00 Audycja poranna.

11.00 Transmisja z Gdyni uroczystości Święta Morza.

12.30 Muzyka z płyt.

14.00 Koncert solistów.

15.00 „Morze w pieśni“ — koncert w wykonaniu Tadeusza Łuczaja.

15.15 „W co się będziemy bawili?“ — aud. dla dzieci młodszych.

15.30 Koncert Kapeli Ludowej Feliksa Dzierżanowskiego.

16.00 Koncert z Ciechocinka.

17.00 „Nasza Marynarka gra“ — koncert Marynarki Wojennej.

19.00 Piosenki w wykonaniu Chóru Wiehlera.

19.30 Poematy o morzu w muzyce fortepianowej.

20.30 „Na morze“ — feljeton.

21.00 Transm. z Sali Filharm. Warsz. zakończ. Turnieju Śpiewacz. I Zlotu Śpiewaków Polsk. zorganizow. przez Świat. Zw. Polaków Zagranicą.

22.05 Fragm. z opery „Legenda Bałtyku“ — Feliksa Nowowiejskiego.

23.00 Muzyka taneczna.

WTOREK — 30. VI.

6.30 Audycja poranna.

12.03 Koncert w wykonaniu Orkiestry F. Raabego (z Poznania).

16.00 Kwintet Salonowy Stefana Rachonia.

16.45 „Skarby Polski“ — odczyt.

17.00 „Pamięci Ottorino Rewpighi“.

17.50 „Mszyce i ich wrogowie“, pogadanka.

18.00 „Spacer przyrodnika po Warszawie“ — pogad. dla dzieci starszych.

19.00 Recital śpiewaczy Zofji Zeyland-Kapuścińskiej.

19.20 Utwory skrzypcowe w wykonaniu Bernarda Lewinsona.

19.40 „Na Bielanach“ — obrazek muzyczny.

20.30 „Kwiatki z niwy przekładów“ — szkic literacki.

21.00 Koncert wieczorny z płyt.

22.15 Muzyka taneczna.

ŚRODA — 1. VII.

6.30 Audycja poranna.

12.03 Muzyka lekka z basenu w Ciechocinku.

15.45 „Dzieńdobry czy dobranoc“ — słuchowisko dla dzieci młodszych.

16.15 Zespół kameralny Niny Mańskiej.

17.00 Janina Brochwiczówna w swoim repertuarze.

17.50 „Anegdoty z życia Adama Asnyka“ (z Krakowa).

19.40 Arje i pieśni w wykonaniu Pawła Prokopieni.

20.30 „Wędrówka mikrofonu po prowicji“ — „Wzorowe osiedla dla bezrobotnych w Naramowicach“.

21.00 III-cia Audycja z cyklu „Kandydaci do Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego“.

21.30 „Chiński flet“ — symfonja kameralna Ernesta Tocha.

22.05 „Ogólnopolski wyścig kajakowy na Czeremoszu“. — Reportaż.

22.15 Mistrz Bel Canta — reportaż muzyczny.

23.00 Muzyka taneczna.

CZWARTEK — 2. VII.

6.30: Audycja poranna.

12.03: Wileńska orkiestra kameralna.

15.45: Transm. z dworca poznańskiego z przyjazdu dzieci polskich z Niemiec na wakacje do Polski.

16.00: Koncert z Ciechocinka.

17.30: Recital śpiewaczy Eugenjusza Maja.

17.50: „Woda jako czynnik zdrowotny“ — pogadanka.

19.00: Premjera — słuchowisko oryg. p. t. „Pani zabija pana“ — Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej.

19.30: „Powrót Małej Orkiestry Polskiego Radja“.

21.00: „Nasze pieśni“ w wykonaniu Wandy Hendrich (z Wilna).

21.30: Franciszek Brzeziński: Sonata D-dur op. 6 na skrzypce i fortepian.

22.15: Muzyka lekka i taneczna.

PIĄTEK — 3 VII.

6.30: Audycja poranna.

12.03: „Soprany koloraturowe“.

16.00: Muzyka salonowa.

16.45: „Początki Polskiej Organizacji Wojskowej w 1914 r.“ — odczyt.

17.00: Popularne melodje Piotra Czajkowskiego.

19.00: Xenia Grey i Marjan Demar w swoim repertuarze (z Poznania).

19.20: Recital fortepianowy Loli Strasberżanki.

19.50: „Kalejdoskop“ Audycja popularno-ludowa.

21.00: Koncert wieczorny z udziałem Henryka Sztompki.

22.15: Muzyka lekka i taneczna.

SOBOTA — 4 VII.

6.30: Audycja poranna.

14.30: Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego (ze Lwowa).

15.45: „Ze śpiewem przez Polskę“ — „Hej z góry — jadą Mazury“ — audycja dla dzieci starszych.

16.00: Koncert solistów.

16.45: „Początki Polskiej Marynarki Wojennej na Bałtyku“ — odczyt.

17.00: Muzyka salonowa w wyk. Orkiestry Klubu Mandolinistów.

17.50: „Puszcza tucholska“ — pogadanka, wygł. Stanisław Wasylewski z Poznania.

19.00: „Lutni wieczór“ — audycja muzyczna.

20.15: Audycja dla Polaków zagranicą: „Sport polski przed Olimpjadą“.

20.55: „Bitwa pod Kołodziejami“ odczyt.

21.05: Recital śpiewaczy Stanisława Drabika.

21.35: „Podwójne życie Symfonja Drucika“ — słuchowisko.

22.15: Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca.

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.